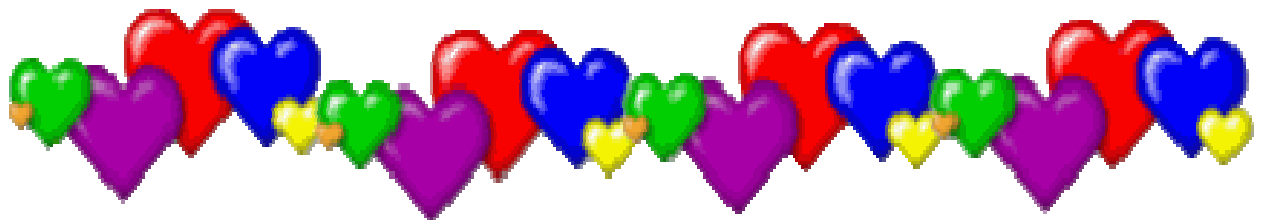




JUDY CAMPBELL



Dom na barce

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Nie do wiary! - rzekła Kathy Macdowell podniesionym głosem, patrząc na trzymaną w dłoni kartkę z krótką informacją. - Jest tylko jeden człowiek, z którym za skarby świata nie chciałabym pracować, a Harry Lord właśnie go zatrudnił!

Zgniotła kartkę i wycelowała papierową kulką prosto do kosza na śmieci.

- A co, to jakiś dwugłowy potwór? - żartobliwie spytała siostrę Lindy.

- Wystarczy, że nazywa się William Curtis - zaczęła wyjaśniać Kathy - i jest bratankiem sir Randolpha Curtisa, aroganta, kłamcy i bufona. No więc czego mogę się po nim spodziewać? Niedaleko pada jabłko od jabłoni.

Lindy wzruszyła ramionami.

- Komplikujesz - mruknęła, żując gumę. - Ty masz swoich pacjentów, on będzie miał swoich. Kto wam się każe spotykać?

Kathy spojrzała na nieświadomą wielu spraw siostrę w równym stopniu rozbawiona, co zirytowana.

- Pojęcia nie masz, ile zależy od stosunków w pracy - odparła, myśląc o konsultacjach w sprawie pacjentów, zarządzaniu przychodnią, i ni stąd ni zowąd wybuchnęła śmiechem. Dogadanie się z doktorem Curtisem wydało jej się tak nieprawdopodobne jak to, że poleci na Księżyc.

- Przecież Harry liczy się z twoim zdaniem. Mogłaś mu powiedzieć, że facet się nie nadaje - rzuciła Lindy sprzed lustra, starannie malując czarną kreskę na powiece.

Kathy tylko westchnęła.

- Nie rozumiesz. To bardzo dobry lekarz. Pracował w Afryce, ma bogate doświadczenie i świetne referencje. Tylko że - dodała poważnie - charakterek ma pewnie taki jak stryj. Pech chciał, że akurat potrzebujemy kogoś do pomocy, a wszyscy dotychczasowi kandydaci nas zawiedli.

- Chyba się czepiasz - stwierdziła Lindy z uśmiechem. - Harry się rozchorował, sama nie dałabyś rady. Powinnaś być wdzięczna. A w ogóle to go nie znasz, więc nie wyciągaj pochopnych wniosków.

- Ale Harry wie, że nie cierpię Curtisów! A w dodatku, przez te jego by-passy, nie mogę mu słowa powiedzieć.

Niecierpliwym gestem odrzuciła do tyłu pasmo jasnych włosów, zdjęła z suszarki kubek i zaczęła go wycierać tak zapamiętale, że porcelanowe ucho uderzyło o kamienną podłogę.

- Spoko - szepnęła Lindy i delikatnie odebrała siostrze uszkodzone naczynie. - Myśl pozytywnie. A może to całkiem miłutki doktorek, który poświęca się pacjentom?

W śmiechu Kathy nie było ani odrobiny radości.

- Co?! Curtisowie to rodzina wrednych egoistów. Idą przez życie po trupach! Poza tym oszukują. Zapomniałaś o naszym kuzynie? Wystarczyłoby, żeby Curtis oddał mu w dzierżawę nieduży kawałek ziemi, a John zwiększyłby zbiory nawet o sto procent. A ten potwór chce tam zbudować jakiś idiotyczny park rozrywki! - Kathy urwała, gdy boleśnie przygryzła sobie wargę.

Dane jej było poczuć na własnej skórze dominację Randolpha Curtisa. Nie chciała wracać do tego nawet myślą, to już przeszłość. Wyjrzała przez okno, za którym w oddali widniały wyniosłe wzgórza. Z tej odległości skały i kamienie układały się w skomplikowany wzór. Cierpiałaby, gdyby ktoś próbował zniszczyć urodę tego miejsca, delikatną zieleń łąk i melancholię wyżynnych wrzosowisk.

Lindy, pokrywszy usta jaskrawym karminem, wkładała pantofle o grubych zelówkach i ciężkich obcasach, które przypominały obuwie chirurgów. Sięgnęła po torebkę i wolno ruszyła do wyjścia.

- Na razie. Nie daj się zwariować, proszę. Stary Curtis nie jest taki zły, skoro dał mi pracę przy koniach. Czasem nawet mięknie i płaci mi coś ekstra. I pozwala pojeździć. Może doktorek odziedziczył też jakieś ludzkie cechy Randolpha? - rzekła pospiesznie, pomachała i już jej nie było.

Kathy ze wzruszeniem odprowadziła ją wzrokiem, niezadowolona, że zawracała jej głowę swoimi problemami. Lindy była o dwanaście lat młodsza, w jej rozedrganym życiu liczyła się tylko dyskoteka, sport, no i czasami szkoła. Po śmierci matki Kathy musiała wrócić do rodzinnego Bentham, by zaopiekować się siostrą. Teraz Lindy miała już szesnaście lat i w niczym nie przypominała tamtej smutnej, rozhisteryzowanej dziewczynki. Szczerze mówiąc, była chwilami dużo rozsądniejsza i bardziej zrównoważona niż Kathy.

Jej uwagę przyciągnęło stojące na kredensie zdjęcie. Były tam w trójkę, przytulone do siebie. Córki roześmiane, matka z oczami pełnymi nieprzeniknionej zadumy, w której miał swój udział Randolph. Znowu on. Ciało Kathy sparaliżował na moment bolesny skurcz nienawiści. Ale zaraz potem dobiegło ją ciche skomlenie, które natychmiast przywróciło jej dobry

nastrój. Smętna psia morda z mokrym nosem tkwiła za szklanymi drzwiami salonu.

- Rafter, staruszku, całkiem o tobie zapomniałam - przyznała, otwierając drzwi i pochylając się, by pogłaskać kudłatego psa, który prosił się o pieszczotę. - Już dobrze, idziemy, może wywietrzeje mi z głowy ten cholerny Curtis.

Na widok smyczy Rafter wpadł w szal radości. Po chwili oboje wyszli na dwór.

Wczesny wieczór pod koniec lata był niezwykle urokliwy. Z podniesioną głową Kathy oddychała głęboko, wciągając balsamiczne powietrze. Szli dziką, zarośniętą ścieżką w stronę pól, oddalając się od wyrastających wciąż nowych domostw na granicy miasta. Gdy puściła psa wolno, ten pognął do przodu jak rakieta, na próżno szukając zajęcy w pobliżu kanału, który otaczał posiadłość sir Randolpha.

Z wolna niepokojące myśli przestawały ją zaprzętać. Lindy ma rację. Może młody Curtis jest dobrym lekarzem? Wiedziała, że niełatwo jej będzie odciąć się od przeszłości i zaakceptować go. Ale trudno, zaciśnie zęby, skoro wymagają tego okoliczności.

Tymczasem Rafter zniknął gdzieś za nawisem skały, słyszała tylko jego nieprzytomne szczekanie. Pomyślała, że pewnie dojrzał jednak zająca i zagonił go do jamy. Głos psa rozbrzmiewał coraz doniosłej. Nagle Rafter wyskoczył, zmykając co sił w nogach przed rozjuszonym terierem, który co i rusz chwycił zębami łapy większego przeciwnika.

Kathy roześmiała się serdecznie: Dawid i Goliat w psiej wersji!

- Mięczak z ciebie - besztła Raftera, który rzucił się do niej jak przerażone dziecko. - Boisz się takiego malca? - Po czym zwróciła się do nasrożonego napastnika: - No już cię tu nie ma! Zmykaj stąd, ty małe straszycie!

Pies rozsierdził się na dobre, a zza wzgórza wyłoniła się sylwetka dobrze zbudowanego mężczyzny w szortach, zbliżającego się do nich zaskakująco szybkim krokiem.

- Magnus! Magnus! Do nogi! W tej chwili! - wołał niskim, nie znoszącym sprzeciwu głosem.

Terier zatrzymał się niechętnie i trochę zalekniony czekał na pana.

- Ty głupi kundlu! - Mężczyzna nachylił się, potargał piaskową sierść psiaka i spojrzał na Kathy.

Patrzyły na nią teraz najbardziej błękitne oczy, jakie zdarzyło jej się widzieć, tak jasne jak barwinek. Na sekundę spotkali się wzrokiem. Odrobinę za długie, gęste brązowe włosy spadały mu na czoło. Twarz miał przyjazną, a jednak wykrój podbródka i ust świadczyły o twardym charakterze.

Omiótł spojrzeniem szczupłą figurę Kathy i zatrzymał taksujący wzrok na jej twarzy. Pomyślała, że ma na sobie zdecydowanie za ciasną koszulkę, która nie pozostawia miejsca wyobraźni. Mężczyzna natychmiast ją zafascynował. Przykucnęła i głaskała Raftera, chcąc ukryć podniecenie i zaczerwienione policzki. Takich mężczyzn rzadko się w Bentham spotykało.

- Proszę wybaczyć ten niezasłużony atak - powiedział, uśmiechając się zniewalająco. - Mam nadzieję, że nie przeraził pani ani tego sympatycznego stworzenia. Ten potwór kompletnie nie umie się zachować i w ogóle mnie nie słucha.

- Jego oczy zabłyszczały, uśmiech rozświetlił mu twarz. - Próbowałem go uczyć, ale to syzyfowa praca. Wziąłem go ze schroniska i nic o nim nie wiem.

Ponownie zwrócił się do psa, który rozciągnął się na trawie, wlepiając pełne uwielbienia oczy w swojego pana.

- Magnus, wstań! - rzucił zdecydowanie mężczyzna. Pies natychmiast skoczył i uderzył o jego nogi.

- Widzi pani? Całkowity brak kontaktu. Muszę znaleźć jakąś szkołę, gdzie przyjmą nas obu.

Kathy z trudem odzyskała głos.

- Jest coś takiego, to znaczy taki kurs. W gimnazjum, na boisku, w sobotnie popołudnia. Zna pan tę okolicę?

- Kiedyś spędzałem tu wakacje. To fantastyczne miejsce dla chłopców. Można jeździć konno, wspinać się, łowić ryby.

Znów się do niej uśmiechnął, tym razem trochę jak chłopiec. Kathy zadziwiła ta mieszanka siły i odpowiedzialności z młodzieńczym czarem i humorem. Widziała go po raz pierwszy w życiu, a przecież czuła się z nim tak bezpiecznie, jakby byli starymi przyjaciółmi.

- Mnie też bardzo się tu podoba - oznajmiła po prostu - i mam nadzieję, że nikomu nie przyjdzie do głowy coś tu zmieniać.

Szli teraz równym krokiem wzdłuż kanału, a Kathy stwierdziła w duchu, że Pierce Brosnan może się przy tym mężczyźnie schować.

- Pewnie wpadł pan tu na krótko?

- Prawdę mówiąc, zostanę dłużej. Sprawy rodzinne - pospieszył z wyjaśnieniem.

- Ach, tak. Więc pana rodzina wciąż tu mieszka?

Mężczyzna spoważniał, a Kathy ugryzła się w język.

- Przepraszam - rzekła cicho. - To nie moja sprawa. Spojrzał na nią wyrozumiale.

- Nic nie szkodzi. Przyjechałem do ojca. Nie czuje się najlepiej.

- Ale to nic groźnego?

- Nie. - Zawahał się. - Powinien wydobrzeć, ale wolę być przy nim - dodał i znów zamilkł na moment, by prędko zmienić temat: - Wspomniała pani o jakichś zmianach w okolicy?

Mieli już za sobą kawał drogi na szczyt. Kathy przystanęła i popatrzyła na leżącą pod nimi dolinę. Z góry widać było Bentham, rozrastające się, pełne gwaru i krzątaniny, borykające się z problemami nieobcymi żadnemu miastu. Na szczęście tuż za jego rogatkami rozpościerała się otwarta przestrzeń.

- Nie uwierzy pan, ale coś się święci - zaczęła. - Ktoś chce zamienić ten cud natury w obrzydliwe, komercyjne centrum rozrywki! - Ostatnie słowa niemal wypłynęły ze wstrętem, po czym krzyknęła z pasją: - Trzeba być kompletnie bez serca, żeby w ogóle wpaść na taki pomysł! Czysta chciwość!

- Nie rozumiem...

Było dosyć ciepło, tylko silny wiatr rozwiewał jej włosy. Uniosła rękę ze spinką, by je jakoś ujarzmić.

- Nie da pani rady, lepiej pomogę je zapleść - rzucił półgłosem i natychmiast zmarszczył brwi, jakby pragnąc zdystansować się od wypowiedzianych przed sekundą słów. - A więc nie podobają się pani te plany?

- To chyba jasne!

- Próbowала pani interweniować?

- Ta ziemia należy do sir Randolpha Curtisa. - Jej głos brzmiał wyjątkowo gorzko. - On tu rządzi. I co z tego, że to oszust? I tak robi swoje, zwłaszcza że obiecuje ludziom pracę. A tutaj jest duże bezrobocie, odkąd zamknięto fabrykę.

- Zatem jest w tych planach coś dobrego. Kathy skrzywiła się, wzruszając ramionami.

- Pewnie patrzyłabym na to inaczej, gdybym sama była bez pracy. Tak czy owak, oznacza to bezpowrotne zniszczenie przyrody. Poza tym dotyczy to moich bliskich.

- Jak bardzo bliskich? - Na twarzy mężczyzny pojawił się chłód.

Poczuła się zakłopotana. Zdała sobie sprawę, że te pretensje brzmią egoistycznie, jakby chodziło jej wyłącznie o własne interesy, podczas gdy prawda była dużo bardziej złożona. Uśmiechnęła się lekko, świadoma, że mężczyzna nie spuszcza z niej wzroku.

- Nieważne. Liczy się, że, na nasze nieszczęście, ziemia znajduje się w rękach tego aroganckiego błazna.

Mężczyzna ponownie objął ją badawczym spojrzeniem.

- Kłopotliwy gość, prawda?

- Nie do zniesienia - rzuciła Kathy bez pardonu. - Cała rodzinka jest taka.

- Dobrze ich pani zna.

Nie była pewna, czy jest to pytanie, czy twierdzenie, i poczuła się zagrożona. Kpi sobie z niej? Uważa, że przesadza? Zagryzła usta. To oczywiste, pomyślał, że ma do czynienia z wariatką. Zaczęła czym prędzej tłumaczyć:

- Nie znam całej rodziny, ale ci, z którymi się zetknęłam, robili wrażenie strasznych egoistów.

Na twarz mężczyzny powrócił grymas uśmiechu.

- Zdarza się w najlepszych rodzinach - odparł i znenacka uściśnął jej dłoń tak mocno, że syknęła z bólu. - Powinienem się chyba przedstawić. Mam na imię Will. Na razie mieszkam tam - dorzucił, wskazując na wstęgę rzeki połyskującą w blasku zachodzącego słońca. Nawet z tej odległości widać było przycumowaną do brzegu barkę.

- Mieszka pan na barce? - Kathy wpadła w zachwyt. - To fantastyczne!

- Trochę ciasno dla kogoś mojego wzrostu - poskarżył się. - Ciągle uderzam głową w sufit i łóżko jest za krótkie. Ale i tak jestem wdzięczny przyjacielowi, że udostępnił mi to, póki czegoś innego nie znajdę.

Jedna myśl nie dawała jej spokoju. Czym właściwie zajmuje się ten Will? Równie dobrze może być instruktorem gimnastyki, jak zawodowym rugbistą. A może - Kathy puściła wodze wyobraźni - spotkała właśnie gwiazdora filmowego? Akurat! Zaraz okaże się, że to grzeczny żonkoś z dwójką dzieci, które czekają na niego gdzieś w Anglii.

- Na obrzeżach miasta zbudowano niedawno osiedle. Są tam ładne domki, chociaż trochę za małe dla rodziny...

- Jestem sam i mam nadzieję, że tak jeszcze zostanie.

Słowa te jednocześnie uspokoiły ją i rozczarowały. Ucieszyła się, że jest wolny, ale nie musi przecież tak podkreślać niechęci do stałego związku. Chcąc zamaskować swoje zainteresowanie przybyszem, zaczęła mówić nerwowo i szybko:

- Naprawdę świetne domki, jeden jest do wynajęcia. Nie dodała już, że sama tam mieszka, w końcu chciała mu tylko pomóc. I sobie przy okazji, pomyślała, uśmiechając się pod nosem.

Dotarli do przełazu. Z przyległego pola dobiegły ich niewyraźne głosy spacerowiczów. Kathy skrzywiła się. Letnie weekendy przyciągały w te strony dziesiątki ludzi, a jeśli plan Curtisa zostanie zrealizowany, zjadą ich tu setki. Wysoki przełaz, który miał za zadanie powstrzymać jelenie, po niedawnych ulewach zamienił się w błotne grzęzawisko.

- A niech to, mogłam włożyć kalosze! - jęknęła i w tej samej chwili Will objął ją i uniósł do góry. Krzyknęła.

- Chciałem tylko oszczędzić pani błotnej kąpieli - wyjaśnił niewinnie.

Stała już na suchym gruncie, ukrywając zmieszanie.

- Dałabym sobie radę. Przywykłam... - rzuciła chłodno. Jego bliskość nie przestawała jej kępować, a on zdawał się mieć to za nic. Wskazał na pole. Niewielka grupka ludzi pochylała się nad czymś i gestykulowała. Wreszcie zauważyli Willa i Kathy.

- Chyba coś się stało - stwierdził Will, gdy postawny mężczyzna w wysokich butach biegł do nich ze strapioną miną.

- Przepraszam, państwo stąd? - spytał zadyszany. - Jest tu gdzieś telefon? Pilnie potrzebujemy lekarza.

Kathy przeklęła w duchu. Coś jej podpowiadało, że tego dnia poznała mężczyznę, który wart był niejednego spaceru, i nie pozwoli, by ktoś jej teraz popsuł szyki. Tym bardziej że pewnie jakiś kolejny fajtłapa stukł sobie tylko kolano.

- Jestem lekarzem - przyznała jednak, tając zniecierpliwienie. - Chętnie pomogę.

- Dzięki Bogu! - zawołał mężczyzna, jakby spadł mu z pleców wielki ciężar, i pognął z powrotem, krzycząc: - Ta pani jest lekarzem!

Pospieszyła za nim. Na ziemi leżał poszkodowany, przy nim klęczała młoda dziewczyna.

- Proszę się odsunąć - zarządziła natychmiast Kathy. Gromadka gapiów posłusznie odstąpiła na bok. Dziewczyna podniosła wzrok i szepnęła z wdzięcznością:

- Co za szczęście. Tak się zdenerwowaliśmy, bo Gareth mówi, że to serce.

Szczupły mężczyzna w średnim wieku był blady i przerażony. Kathy zbadała mu puls. Serce rzeczywiście biło ponad dwieście razy na minutę, za to dość regularnie.

- Proszę się nie martwić. Zaraz się uspokoi - rzekła łagodnie i, przyciskając lekko tętnicę szyjną, wyczuła, jak tętno wraca powoli do normy. Twarz mężczyzny nabierała kolorów, oddychał głęboko i równomiernie. - Zdarzyło się to już panu kiedyś? - zapytała.

Mężczyzna przytaknął słabym głosem, w którym dało się jednak słyszeć ulgę.

- Jakiś miesiąc temu, całkiem nagle, chociaż staram się trzymać formę, biegam, chodzę na siłownię.

- Mówił pan o tym swojemu lekarzowi? - dociekała. - Proszę spróbować powolutku usiąść, będzie panu lepiej oddychać. - Podłożyła mu plecak i delikatnie pomogła się unieść.

- Mówiłem. Powiedział, że coś mi miga... ?

- Migotanie przedsionków? - odezwał się niski głos obok Kathy. Było to tak niespodziane, że aż drgnęła. - Czuje pan teraz ból w klatce piersiowej albo drętwienie w lewej ręce?

Mężczyzna potrząsnął głową.

- Nie. Dopadło mnie zniecka. Kompletnie nie mogłem złapać tchu, w głowie mi się kręciło. Teraz już lepiej.

- Wygląda pan z pewnością lepiej. - Will popatrzył na Kathy.

Zastanawiała się, jak wyrazić swoje oburzenie. On za dużo sobie pozwala, myślała, w końcu to ona jest lekarzem. Podoba się jej, ale to nie daje mu prawa, żeby wtykał nos w nie swoje sprawy. Oświadczyła chłodno:

- Tak, serce wraca do normy. Musi pan odpocząć. Chciałabym jednak, by przebadano pana w naszym szpitalu, należałoby zrobić EKG.

- Bezwzględnie! - wtrącił się znów Will. - Migotanie przedsionków zdarza się całkiem zdrowym ludziom, ale zawsze jest niepokojącym objawem.

W oczach Kathy zdumienie mieszało się z furją.

- Cieszę się, że się zgadzamy - rzuciła sarkastycznie. - A teraz może pójdzie pan zadzwonić po karetkę, a ja zostanę z Garethem.

- Mam lepszy pomysł - oznajmił Will zadowolony, wyjmując z kieszeni telefon komórkowy.

Karetka pojawiła się wkrótce. W drodze do szpitala Garethowi towarzyszyła młoda przyjaciółka. Reszta towarzystwa udała się na parking.

- A zatem jest pani lekarzem? - Will też wydawał się zaskoczony.

Kathy potwierdziła krótko, bo niezależnie od tego, jak bardzo się starała, nie potrafiła opanować złości.

- A pan? Interesuje się pan medycyną? Skończył pan jakiś kurs pierwszej pomocy?

Był wyraźnie zakłopotany.

- Proszę wybaczyć, nie chciałem się wtrącać...

Urwał, a zdawało się, że zamierzał powiedzieć dużo więcej. Od strony miasta dobiegł ich dźwięk bijącego zegara.

- Siódma! - przeraziła się Kathy. - Muszę lecieć. Miło było pana poznać.

Pragnęła, by jej słowa brzmiały poważnie i rzeczowo, a mimo to nie udało jej się odwrócić obojętnie od tych oczu, które zgadywały jej prawdziwe myśli. Ich spojrzenia po raz kolejny tego dnia spotkały się na moment, na jedną przejmującą sekundę.

- Do zobaczenia, pani doktor - wyszeptał. - Niedługo się zobaczymy - dodał, patrząc na znikającą w oddali sylwetkę. - Jeśli los tak zechce...

Zagwizdał na psa i ruszył ścieżką w dół.

Wróciła do domu z walącym sercem. Miała żal do wszystkich: do wycieczkowiczów, że jej przeszkodzili, do siebie, że nie dowiedziała się więcej o Willu. Dlaczego nie zaprosiła go na kolację? Stała przed lustrem i widok własnej zawiedzionej miny rozbawił ją na dobre.

Przecież zachowuje się jak nastolatka! Zna go niecałe dwie godziny, a już robi poważne plany. Jakby, nie zdawała sobie sprawy, że taki przystojny facet na pewno kogoś ma, a w każdym razie ona nie jest jedyną, która stara się o jego względy. Ośmieszyłaby się, gdyby wyrwało się jej jedno słowo więcej. Poza tym i tak nigdy go już nie zobaczy.

ROZDZIAŁ DRUGI

Po raz nie wiadomo który zawadziła bocznym lusterkiem o pień drzewa rosnącego zbyt blisko jej miejsca parkingowego. Ustawienie się tam graniczyło z cudem. Musi o tym porozmawiać z Harrym. Zresztą, rzut oka na przychodnię w Bentham wystarczył, by dojść do smutnego wniosku, iż wiele spraw wymaga tam uwagi.

Niewielki trawnik zarastał chwastami, z murów odpadała farba. Na pewno nie zrobi dobrego wrażenia na ich nowym wspólniku. Ośrodek zdrowia znajdował się w starej części miasta, zaniedbanej przez lata. Co prawda, zostało tam już niewielu dawnych mieszkańców. Okoliczne domy wykupywali coraz częściej młodzi ludzie i przerabiali je nie do poznania.

Odkąd Harry chorował, a trwało to już kilka miesięcy, cała papierkowa robota spadła na głowę Kathy. Poświęcała temu każdą wolną chwilę, pocieszając się jedynie, że uda jej się wkrótce doprowadzić do renowacji budynku.

Na parkingu samochody stały jeden przy drugim, co znaczyło, że poczekalnia pełna jest pacjentów. Typowy poniedziałkowy ranek. Zamknięty w jednym z samochodów pies zawarczał na Kathy zza szyby. Odpowiedziała mu burknięciem i uśmiechnęła się, bo nagle przypomniał jej Magnusa. Swoją drogą, cóż to za imię dla tak niepozornego stworzenia.

Pies natychmiast przywołał w jej pamięci obraz przystojnego mężczyzny o niebieskich oczach i Kathy pomyślała, że dobrze byłoby wybrać się znów któregoś dnia na spacer wzdłuż kanału. Chyba zatęskniła za atmosferą romansu, która po dłuższej przerwie otoczyła ją w miniony weekend.

Widok poczekalni potwierdził jej przewidywania - z trudem przedzierała się przez tłum walczących o krzesło starszych i rozwrzeszczanych dzieci. Robiła to jednak z pogodną miną, choć czekające ją spotkanie z nowym lekarzem wisiało nad nią jak miecz Damoklesa.

Weszła do pokoju, rzuciła na biurko karty pacjentów i jęknęła na widok stosu poczty, z którym miała się zmierzyć. Pokój ten sąsiadował z recepcją. Urzędowała tam Ruth, z natury pesymistka, której zmienne nastroje oddziaływały na całe otoczenie. Kathy wychyliła się i zawołała:

- Przyjdzie dziś doktor Curtis, nasz nowy wspólnik. Poproś go do mnie, jak tylko się pojawi, dobrze?

- Był tu taki - odparła Ruth złowieszczo. - Myślałam, że to pacjent, więc kazałam mu czekać. Ciągle ktoś się wpycha bez kolejki. Powiedziałam mu,

żeby nie liczył, że przyjmie go pani przed dziesiątą. - Pociągnęła nosem, dając wyraz głębokiej irytacji. - Zresztą miły to on nie był. Godzinę nie mam zamiaru czekać, mówi. Przyszedłem do pracy, nie będę tracił czasu. Nie wiem, czy to dla nas dobra wróżba - dodała ostrzegawczo.

Kathy zasepiła się: potwierdzały się wstępnie jej obawy. Z drugiej strony, nietaktowne często zachowanie Ruth prowokowało do niegrzecznych reakcji. Postanowiła delikatnie dać jej do zrozumienia, że nikt, a zwłaszcza doktor Curtis, nie będzie dłużej znosić jej humorów.

- Czeka w pani gabinecie - rzuciła Ruth niechętnie. - Czyli pewnie mam podać kawę?

Kathy z lękiem pchnęła drzwi. Wysoki mężczyzna unosił żaluzję i przyglądał się stojącym wzdłuż ulicy domom z charakterystycznymi tarasami. Miał na sobie świetnie skrojony ciemny garnitur, a trochę za długie brązowe włosy opadały mu na kołnierzyk. Gdy weszła, odwrócił się i spojrzał na nią błękitnymi jak barwinek oczami. Przez kilka sekund wpatrywali się w siebie.

- Jaki ten świat jest mały - odezwał się. - Kto by pomyślał, że tak szybko znów się spotkamy? - Oceniał wzrokiem jej elegancką granatową garsonkę i zauważył spleciony ciasno warkocz. - Widzę, że posłuchała pani mojej rady.

- Słucham? - Do bólu ścisnęła oparcie krzesła. - A więc to pan - wykrztusiła wreszcie. - Will, Will z barki?

Dałaby głowę, że pomylił adres.

- Czy to pan ma zająć miejsce doktora Lorda? - spytała, nie kryjąc zaskoczenia.

- Do usług. William Curtis, lekarz internista. - Wyciągnął rękę i pochylił głowę. - Zgaduję, że mam do czynienia z doktor Kathy Macdowell, współpracowniczką Harry'ego Lorda.

Oszołomiona, Kathy uścisnęła jego dłoń. Jak to możliwe, by stojący przed nią mężczyzna był krewnym tego, krzepkiego Randolpha Curtisa? Doprawdy, niełatwo byłoby znaleźć dwie bardziej różne fizjonomie.

- A zatem Randolph jest pańskim wujem? - Czowała, jak rumieni się na myśl o spacerze, kiedy to swobodnie obrzucała Randolpha niewybrednymi epitetami.

Przełknęła ślinę, zakłopotana, i odrzuciła na bok grzywkę.

W końcu jednak przestała się przejmować, co pomyśli o niej nowy lekarz. Jego rodzina z pewnością zasłużyła sobie na gorzkie słowa. Czowała na swojej twarzy wzrok Willa, który powiedział:

- Mam nadzieję, że moje koneksje rodzinne nie wpłyną na pani ocenę mojej skromnej osoby, nawet jeśli wuj nie należy do pani ulubieńców.

Policzki Kathy zalała fala gorąca.

- Nie akceptuję jego planów - wydusiła z trudem. - Pan postrzega go inaczej.

- Darzę go wielkim szacunkiem - przyznał. - Jest dla mnie dobry i hojny. Rzeczywiście, ma bardzo określone poglądy, nigdy nie zajmuje pozycji widza. Często jednak okazuje się, że ma rację.

Zdobyła się tylko na półuśmiech. Poprosiła go, by usiadł i sama zajęła miejsce za biurkiem.

- Żałuję, że nie byłam obecna przy pańskiej rozmowie z doktorem Lordem - zaczęła oficjalnie. - Z pewnością poinformował pana, że choć nasza przychodnia nie jest duża, liczba pacjentów przekracza możliwości dotychczasowego zespołu. Teraz jeszcze i doktora Lorda zabraknie z powodu operacji.

- I wszystko spadło na panią? - Will patrzył na nią badawczo. - W nocy też jest pani do dyspozycji pacjentów?

Jego uwagi nie umknęły cienie pod jej oczami i linie tworzące się wokół ust. Serce Kathy zabiło szybciej pod wpływem tych oględzin, odparła jednak jakby mimochodem:

- Zazwyczaj dwa razy w tygodniu. Mamy umowę z większą przychodnią z innej części miasta. Do nas należy i tak spory teren, dzielnica willowa i przedmieścia na zachodzie.

Mówiąc to, uświadomiła sobie, że dla kogoś z jego doświadczeniem ich praca musi wydawać się okropnie nudna. Zapewne nie zainteresowałby się nią, gdyby nie był do tego zmuszony. A ją znów w pełni satysfakcjonowała funkcja lekarza rodzinnego, kompleksowa opieka nad pacjentem, a przy okazji bliski kontakt z ludźmi i ich życiem.

- Nasze działania zapewne odbiegają od pańskiej dotychczasowej praktyki, ale dla nas są bardzo ważne. A zatem może łączy nas zawodowe zaangażowanie - ciągnęła rzeczowo. - Raz w tygodniu po godzinach przeprowadzamy drobne zabiegi w miejscowym szpitalu. W razie potrzeby pod ręką mamy tam aparat rentgenowski.

- Świetnie - rzucił z entuzjazmem. - Dotyczy to tylko naszych pacjentów?

- Także tych z dwu pozostałych przychodni, których lekarze pełnią dyżury w inne dni. To dobre rozwiązanie, daje możliwość stałego kontaktu z praktyką szpitalną.

- Racja. W przychodni można czuć się bardzo osamotnionym - odparł z uśmiechem, a Kathy doszła do wniosku, że w garniturze wygląda jeszcze lepiej niż w sportowym ubraniu.

I wtedy przypomniała sobie, że to Curtis! Wszystko przez to pierwsze dobre wrażenie, jakie zrobił na niej na spacerze. Cóż, wkrótce trzeba będzie je zrewidować i trzymać go na dystans, bo żaden Curtis na nic innego nie zasługuje.

- Czy w Zimbabwie pracował pan w mieście? - Jej głos brzmiał oschle i służbowo.

- Raczej w buszu - odparł rozbawiony jej pytaniem. - Pracowałem dla organizacji charytatywnej, której celem była edukacja medyczna, zwłaszcza dotycząca dzieci. A tak naprawdę musiałem zajmować się ofiarami lwów i biegunki.

Kathy wciąż miała przed oczami obraz wyłaniającego się zza wzniesienia mężczyzny w stroju koloru khaki, i łatwo wyobraziła go sobie w afrykańskiej dżicy.

- A zatem - kontynuowała - problemy naszych pacjentów nie sprawią panu najmniejszego kłopotu.

- Medycyna jest moją pasją - odparł z niepokojącym błyskiem w oku - ale mam nadzieję, że nigdy nie będę tak pewny siebie, aby stwierdzić, że niczego już nie muszę się uczyć.

Speszyla się. Podejrzewała, że Will odgrywa się za protekcyjną uwagę o kursie pierwszej pomocy, jaką rzuciła mu poprzedniego wieczoru. W każdym razie pragnęła teraz tylko jednego: by natychmiast przestał wprawiać ją w zakłopotanie.

- Gdybym wiedziała, że jest pan lekarzem... Will Curtis patrzył na nią przewrotnie.

- Doskonale sobie pani radziła z tym nieszczęśnikiem. Zdawało mi się, że nie życzyła sobie pani pomocy.

- To nie tak - protestowała słabo, czując kolejną falę gorąca. - Myślałam, że nie zna się pan wystarczająco... Nie wiedziałam o panu nic prócz tego, że zajmuje się pan ojcem.

Twarz mężczyzny przesłonił nagły cień, rozmowa urwała się i przez chwilę panowało krępujące milczenie, które wreszcie przerwała, pytając cicho:

- Pański ojciec przebywa w naszym szpitalu?

- W domu, ale pod dobrą opieką.

Minęła kolejna kłopotliwa minuta, zanim ponownie zwróciła się do swojego gościa.

- Pański ojciec także jest lekarzem?

- Nie, prawnikiem - odrzekł tonem zniechęcającym do dalszych pytań.

Zrozumiała, że niechcący wkroczyła na teren zakazany, więc czym prędzej zmieniła temat.

- Pewnie dziwnie się pan teraz czuje w nowych warunkach. Afryka była dosyć prymitywna, jak sędzę...

Pokręcił głową przecząco.

- Wcale nie. W Lagardzie był normalny, świetnie utrzymany budynek, choć otaczały go pokryte słomą chaty, gdzie leżeli nasi chorzy. Od miasta dzieliły nas całe mile, a jednak było tam wszystko co potrzeba. Mieliśmy bieżącą wodę, prąd, podstawowy sprzęt i narzędzia. Myślę, że uznałaby pani nasz szpital za całkiem przyzwoity.

Przymknęła oczy i ujrzała w wyobraźni jasny budynek z werandą, na której w cieniu siedzi Will, a przed nim stoi kolejka matek z dziećmi. Czekają, by biały doktor pomógł ich pociechom. Plac przed budynkiem jest czysto zamieciony, a wszystko skąpane w gorącym słońcu. Gdy równocześnie zobaczyła odpadającą tapetę i podarte żaluzje w swoim gabinecie, ogarnęło ją poczucie winy, jakby została przed chwilą skarcona.

- Fakt - rzuciła krótko. - Wypadamy kiepsko w porównaniu z Lagardą. - Rozejrzała się i widok gabinetu nieco ją przygnębił.

Mężczyzna rzucił tylko okiem po kątach.

- Miała pani ważniejsze sprawy niż łuszcząca się farba. Mam nadzieję, że teraz z moją pomocą wszystko potoczy się łatwiej.

Obdarzyła go słodkim uśmiechem, za którym kryła się złośliwa satysfakcja. Nareszcie go przyłapała, w końcu wyszła na jaw wrodzona arogancja Curtisów.

- Z trudem bo z trudem, ale jakoś pchaliśmy wszystko do przodu przez te lata, i nawet nasz stary budynek dotąd się nie zawalił. Tak czy owak, u nas pacjenci są na pierwszym miejscu.

- To się chwali... - zaczął, ale nie dała mu dojść do słowa.

- Nasz budżet jest raczej skromny - dodała z naciskiem, a informacja ta znaczyła ni mniej ni więcej tylko to, że z pieniędzmi obchodzono się wyjątkowo ostrożnie.

Mówiłaby tak dłużej, gdyby nie głośnie walenie do drzwi, które przerwało jej wywód. Do gabinetu wkroczyła Ruth, oznajmiając bezpardonowo:

- Przyniosłam tę kawę, chociaż nie ma na nią teraz czasu. Poczekalnia pęka w szwach.

Bardziej z nadzieją niż z przekonaniem, Kathy zwróciła się do niej:

- To jest doktor Curtis. Wierzę, że będziesz mu tak pomocna jak nam do tej pory.

Te słowa musiały paść, na wszelki wypadek. Recepcjonistka znana była bowiem z tego, że jeśli raz uznała kogoś za wroga, szybko nie zmieniała zdania.

- My się już znamy. - Will uniósł się, górując nad pulchną postacią Ruth. - Mamy już za sobą drobne nieporozumienie, z mojej winy, za co ogromnie przepraszam.

Przepraszający Curtis? To nie mieści się w głowie. Nawet Ruth kompletnie odjęło mowę. Kiedy wyciągnął do niej rękę, ujęła ją słabo, potulnie pochyliła głowę, po czym, do reszty rozbrojona, odeszła.

- Jeśli rzeczywiście wzięła mnie za pacjenta, tym bardziej powinna być uprzejma - rzekł poważnie. - Zawsze ma taki niewyparzony język? W ten sposób niejednen zdenerwowany pacjent może stąd odejść z kwitkiem. Ktoś jej to uświadomił?

- Nie zawsze jest taka. - Kathy stanęła w obronie swojej pracownicy. - W wielu sprawach jest niezastąpiona - dorzuciła poirytowana, że Will od pierwszej chwili ingeruje w ich pracę.

Wstała na znak, że rozmowa skończona.

- Mamy teraz dużo ważniejszych spraw, doktorze. Przytaknął i wyszedł. Dałaby głowę, że gdzieś na dnie

jego oczu igrał podrwiwający z niej chochlik. Na domiar złego, doktor Curtis najwyraźniej zamierzał włączyć się bardzo czynnie w działalność przychodni w Bentham.

To był wyjątkowo pracowity ranek. Po wyjściu ostatniego pacjenta do gabinetu Kathy zastukała Ruth.

- Jeszcze jedna, pani doktor. Matce Pat Layton wyrwali torebkę w supermarkecie, i teraz jest w szoku. - Ruth zniżyła odrobinę głos. - Chociaż na moje oko Pat jest w większym szoku niż pani Forster, ale to histeryczka. No, w każdym razie coś nie tak z ręką starszej pani.

Ostatnimi czasy w Bentham znacząco wzrosła liczba drobnych przestępstw, i to w biały dzień. Pani Forster miała osiemdziesiąt trzy lata, była drobna i niewysoka, i doskonale nadawała się na ofiarę. Zbliżała się teraz powoli z pomocą córki. Za nimi Kathy dostrzegła policjanta, no i

oczywiście, jak zwykle w takich przypadkach, pojawił się tłumek ciekawskich.

Widok Pat Layton, postawnej pięćdziesięcioletniej kobiety z dużą klasą, trochę Kathy zaskoczył. Pat nie należała do bezbronnych i bezradnych kobieciełek. Angażowała się w działalność społeczną, uczestniczyła w pracach rady miejskiej. Tymczasem stała teraz przed Kathy, trzęsąc się z przerażenia, zastraszona, przyciskając do oczu chusteczkę, jakby mogło to powstrzymać łzy. Ruth miała rację - w porównaniu z córką pani Forster wyglądała na uosobienie spokoju.

- Proszę usiąść. - Kathy otoczyła starszą panią ramieniem. - Wszystko wiem, to musiało być okropne przeżycie.

Pani Forster huknęła z animuszem:

- Niechbym tylko złapała gagatka, już by mnie popamiętał! Akurat odebrałam z poczty emeryturę. A taki jeden z drugim dnia ucziwie nie przepracuje!

Na te słowa Pat zanosła się płaczem.

- Mamo! Mamusiu, moje biedactwo!

Zachowanie córki najwidoczniej zawstydziło starszą panią. Wciągnęła powietrze i wycodziła przez zęby:

- Weź się w garść. Można by pomyśleć, że chodzi o twoją torebkę.

Kathy wyczuła nadciągającą rodzinną burzę i stwierdziła, że najwyższy czas się włączyć.

- Pani Forster, czy ten człowiek zranił panią albo uderzył? Mówiła spokojnie, miała bowiem świadomość, że mimo pozorów pacjentka przeżyła jedną z gorszych chwil w swoim życiu i powinna teraz wyrzucić z siebie żal spowodowany napadem. Drżąca dłoń i załamujący się głos pani Forster potwierdziły jej ocenę.

- Chciałam tylko wziąć z półki herbatniki, moje ulubione...

Kathy cierpliwie słuchała nerwowej opowieści.

- Miałam torebkę zawieszoną na ramieniu, ale trzymałam ją lewą ręką. I wtedy ten zbir pociągnął z taką siłą, że sprzączka skaleczyła mi palec, i puściłam. - W oczach kobiety widać było nagłe ożywienie. - Pokazałabym mu, gdyby mnie tak nie zaskoczył.

- Mogę zobaczyć rękę? - poprosiła Kathy, ubawiona przypiływem energii starszej pani.

Palec pacjentki spuchł, poczerwieniał i trochę krwawił nad ślubną obrączką, która pękła, wbijając się w skórę.

- Obrączka zatrzymuje krążenie, dlatego palec tak posiniał i boli. Trzeba będzie ją zdjąć. Proszę poczekać, zawołam naszego nowego lekarza.

Po raz pierwszy tego dnia Kathy uznała obecność Willa za zbawienie. Kontakt z Harrym bywał ostatnio poważnie utrudniony, a momentami męczyła ją już przymusowa samodzielność. Will siedział w biurze na tyłach recepcji i coś notował.

- Pani też już skończyła? - odezwał się na jej widok. - Świetnie, bo chciałbym słówko...

- Czy to może poczekać? Mamy problem. Podniósł się niezwłocznie.

- O co chodzi?

- Trzeba jak najszybciej zdjąć pękniętą obrączkę pacjentce, której wyrwano torebkę. Napadnięto ją. Potrafi pan to zrobić?

Will uśmiechnął się.

- Jeśli znajdzie się tu gdzieś piłka do metalu, może nie będę musiał amputować palca.

Spokój nowego lekarza wpłynął kojąco nawet na Pat Layton, mimo iż piłka do metalu niezaprzeczalnie kojarzyła jej się z narzędziem zbrodni. Will przysiadł koło poszkodowanej, pochylił się i już po chwili triumfalnie trzymał w dłoni dwie połówki obrączki.

- Nie zdejmowałam jej od dnia ślubu - szepnęła pani Forster z przejęciem.

- Od sześćdziesięciu lat.

Spojrzał na nią ze współczuciem i pogłaskał po rękę.

- Obrączkę można naprawić, a palec trudno doszyć.

Przypatrując mu się, Kathy jednego była teraz pewna. Ten człowiek zdobędzie serca ludzi. Od Harry'ego, który z powodu choroby stał się nie do zniesienia, wielu pacjentów się odwróciło. Will Curtis nadrobi to z nawiązką.

- Co pani myśli o palcu? - zapytał niespodzianie.

- Trochę zniekształcony. Sugerowałabym prześwietlenie, może trzeba go unieruchomić. Pani Forster, proszę pójść na ostry dyżur sprawdzić, czy nie ma złamania. Nasza pielęgniarka na razie zabandażuje palec.

Pat wstała z krzesła wymęczona i blada.

- Chodźmy, mamó. Samochód czeka na parkingu.

- Dziewczyno, przecież ty mi zaraz zemdlejesz! - Pani Forster dziarsko ruszyła przed siebie, głośno mówiąc do pary lekarzy: - Nie rozumiem, najmniejszy drobiazg wytrąca ją z równowagi. Szczęście, że nie miała broni, bo nie ręczę, co stałoby się z tym chłopcem.

Kathy z uśmiechem obserwowała opuszczające gabinet kobiety: matkę z podniesioną głową i skuloną córkę. Pat z pewnością nie przypominała bohaterki.

- Coś jeszcze? - Will przerwał jej niewesołe refleksje. - Lubię proste operacje, chociaż takiej się nie spodziewałem.

- Dziękuję. Z pewnością obsługuje pan piłę do metalu lepiej ode mnie. Zapamiętam, żeby mieć ją pod ręką.

- Takie wypadki są tutaj na porządku dziennym? Udała, że nie słyszy ironii w jego głosie.

- Jeśli pyta pan o kradzieże, to zdarzają się tak często jak wszędzie. Zwykle to narkomani potrzebujący pieniędzy.

- Gdyby stworzyło się tu więcej miejsc pracy... - zaczął znów znacząco.

Wzdrygnęła się. Czyżby aluzja do planów Randolpha?

- Ma pan na myśli rodzinne interesy? - rzuciła.

- Być może - odparł pozornie obojętnie. - Zapewniam panią, że wuj, którego pani tak nie znosi, nie wykonuje nigdy bezmyślnych ruchów. Każdą sprawę rozpatruje z rozmaitych punktów widzenia.

Kathy parsknęła ironicznie.

- Pański wuj, którego „tak nie znoszę”, rozmyślnie trzyma ziemię, która przydałaby się wielu tutejszym rolnikom, w tym także mojemu kuzynowi. Wydaje się więc, że z premedytacją pozbawia ludzi pracy.

- Poddaję się. Widzę, że to drażliwy temat. - Wzniósł ręce do góry i dodał spokojnie: - Chyba pani spojrzenie na tę sprawę nie jest obiektywne. Każdy kij ma dwa końce.

Powstrzymała się przed odpowiedzią. Ostatecznie co za sens kłócić się od pierwszego dnia, zwłaszcza że Will Curtis udowodnił już swą użyteczność. A jednak było coś nieszczerzego w jego uwagach na temat Randolpha, którego gburowa-ty głos dotąd brzmiał w jej uszach:

- Kuzyn pani okazał się kiepskim gospodarzem. Nie mam najmniejszego zamiaru wydzierżawić mu więcej ziemi, skoro nie radzi sobie z tym co ma. - Patrzył na nią wtedy nieubłaganie spod krzaczastych brwi i dorzucił: - Przykro mi, ale byłoby znacznie lepiej, gdyby rzadziej zaglądał do kieliszka.

Takiej uwagi Kathy nie mogła przemilczeć.

- To pan jest temu winien, pańskie nieludzkie decyzje! Całe życie walczy pan z moją rodziną!

- Nie wszystko jest tak proste, jak się wydaje - powiedział wówczas Randolph z odcieniem gorczy, lekko pochylając głowę.

Ale dla Kathy sprawa była oczywista. Przykre wspomnienia przerwała propozycja Willa:

- Wezmę teraz parę wizyt domowych, jeśli pani pozwoli. A propos, kilku pacjentów się nie pojawiło. Często tak bywa?

- Nic na to nie poradzę. - Nie wiadomo dlaczego, zaczęła się bronić.

- Może jesteśmy zbyt pobłażliwi. Co pani powie na to, żeby zrobić listę tych, którzy konsekwentnie opuszczają wizyty, i napisać do nich?

- Tylko kto ma na to czas, doktorze?

Policzki Kathy pałały ze złości. Ten mężczyzna jest tu ledwie od rana, a już wypatrzył jakieś niedociągnięcia. Najbardziej frustrujące było to, że miał rację. Mówił o sprawach, które i jej nie dawały od dawna spokoju, tylko z konieczności odłożyła je na nieznaną bliżej przyszłość.

- Właśnie zaoszczędziłoby nam to mnóstwo czasu - ciągnął. - I jeszcze jedno, czy mogłaby pani zwracać się do mnie po imieniu? Wtedy i ja, oczywiście, pozwolę sobie mówić do pani Kathy... W końcu jesteśmy teraz tak blisko. Kathy? - Żartobliwie uklonił się i wyszedł z gabinetu.

Nie umiała poradzić sobie z własnymi uczuciami. Od niepamiętnych czasów nie była tak podniecona w obecności mężczyzny, a z drugiej strony jego uwagi ją drażniły. Nad wszystkim dominowało jednak przeświadczenie, że Will Curtis jest najbardziej apetycznym okazem płci męskiej, jaki kiedykolwiek widziała.

ROZDZIAŁ TRZECI

Podczas przerwy na lunch Kathy miała zwyczaj wracać do domu. Wypuszczała Raftera na kwadrans do ogrodu, a sama w tym czasie zjadała kanapkę, przeglądając gazetę.

Jednak kilka minionych dni znacznie odbiegało od dotychczasowej rutyny. Kathy czuła w sobie energię, której musiała dać upust. Rok wcześniej zapisała się na gimnastykę, ale tylko parę razy uczestniczyła w zajęciach. Teraz odczuwała niemal wewnętrzny przymus, by przed latem zadbać o figurę i kondycję. Oszukiwanie się było bezcelowe - to z powodu Willa postanowiła dokonać kilku zmian, poczynając od przychodni, a na sobie kończąc. I oczywiście fakt ten działał jej na nerwy, choć w pewnym sensie czuła też wdzięczność.

Sapiąc z wysiłku, spojrzała krytycznie na swoje odbicie w znajdującym się naprzeciwko ogromnym lustrze. Musiała uczciwie przyznać, że ma przed sobą jeszcze długą drogę. Zarumienione policzki, obolałe mięśnie i zadyszka nieubłagane świadczą o tym, że z jej kondycją jest kiepsko, zwłaszcza że zaliczyła na bieżni tylko niezbyt długi spacer. Postanowiła wziąć prysznic przed wyjściem do szpitala, by Will nie zobaczył jej w tak żałosnym stanie.

Will Curtis nie opuszczał jej myśli. Tak bardzo odbiegał od wyobrażenia, jakie o nim miała. Pełen czaru i charyzmy, nie miał w sobie zbyt wiele arogancji, choć niewątpliwie była w nim pewna stanowczość, która pozwalała mu z łatwością pokonywać przeszkody. I właściwie trudno było obrażać się na niego za to, że stanął w obronie wuja, chociaż fatalne konsekwencje planów Randolpha powinny być jasne dla wszystkich.

Dumałaby tak dalej, gdyby nie zgrzyt przyrzędu do ćwiczeń i niski głos, który odezwał się tuż obok:

- No, no, jestem pod wrażeniem. Widzę, że pokonujesz stres w najlepszy możliwy sposób.

Omam nie spadła z bieżni. Metr od niej zmaterializował się właśnie Will, w podkoszulku i obcisłych spodenkach do kolan. Co więcej, od razu pozbył się koszulki, demonstrując opalony tors i ramiona. Serce Kathy zareagowało gwałtownie na ten widok.

Will stanął na drugiej bieżni. Ruszył nie za szybko, potem zwiększył tempo, nie przestając się do niej uśmiechać.

- Piętnaście minut i adrenalina tak mi skoczy, że przed szpitalem zaliczę jeszcze papierkową robotę. Będziesz dziś w szpitalu?

- Tak. - Musiała się sporo natrudzić, by wydobyć z siebie to jedno słowo. -
Przyjmuję w poradni dla kobiet.

Zwolniła i wychyliła się lekko, by dostrzec licznik na jego bieżni. Co najmniej dziewięć mil na godzinę!

- Często tu bywasz? - spytał, nie przerywając biegu.

- Raczej nie.

Oddychała ciężko, wyłączyła maszynę, zanim zdołał zobaczyć jej zawstydzający wynik.

- Przejdę na chwilę do ciężarków i zbieram się. Do zobaczenia - dorzuciła ostatnim tchem i czym prędzej zniknęła mu z oczu.

Właścicielka siłowni była bliską koleżanką Kathy, chodziły razem do szkoły i należały do tego samego klubu tenisowego. Kathy wiedziała, ile trudu kosztowało ją zrealizowanie marzenia o własnym interesie.

- Cześć, Sue, co słyhać? - zwróciła się przyjaźnie do stojącej w pobliżu kobiety.

Uśmiech Sue Croft nie należał do najradośniejszych.

- Tak sobie. Właściwie akurat fatalnie, chociaż... Kathy nie pozwoliła jej dokończyć.

- Co ty mówisz? - Z troską spojrzała na zmartwioną twarz Sue, która stęknęła, odpowiadając pytaniem:

- Nie słyszałaś o nowym centrum rozrywki?

Kathy nie trzeba było tłumaczyć nic więcej. Niemal bez wysiłku podnosząc ciężarki, spojrzała w stronę młodego Curtisa i powiedziała krótko:

- Słyszałam. I co?

- Przecież to mnie wykończy, wciąż spłacam pożyczkę.

- Nikt nie radzi sobie tak dobrze jak ty. Zawsze masz pełno. - Od dawna podziwiała przedsiębiorczość koleżanki.

- No i co z tego? Mieliśmy dobry początek - wyjaśniła Sue rozgoryczona. - Sama wiesz, jak ludzie kochają nowinki. Tam na pewno będą mieli więcej lepszego sprzętu, no i basen. Ja nie mogę o tym nawet marzyć. Słucham tylko, jak moi klienci prześcigają się w domysłach. Jeżeli Randolph Curtis nie zmieni zdania, będę zmuszona zwalniać pracowników albo zamknąć...

Jakie to wszystko niesprawiedliwe, myślała Kathy. Zamknięcie klubu Sue pociągnie za sobą dalsze niekorzystne skutki. Nowe centrum nie skorzysta zapewne z lokalnego serwisu, zakupy też będzie poza Bentham.

- Pomogę ci - obiecała, mając nadzieję, że uda jej się jakoś przeciągnąć Willa na swoją stronę. - Przecież to woła o pomstę do nieba!

Will zszedł z bieżni i skłonił głowę w stronę Kathy. Na jego ciele lśniło ledwie parę kropli potu, jakby się wcale nie zmęczył. Owinęła się szczelnie ręcznikiem, by zasłonić spływającą wzdłuż kręgosłupa strużkę.

- Wychodzisz? - spytał. - Nie powinnaś odpocząć?

- Nie, dziękuję - odparła oschle. - Czuję się świetnie.

- Nikt temu nie przeczy. - Wciągnął koszulkę. - Mając tak blisko siłownię, będziemy chyba najsprawniejszymi lekarzami w tej okolicy.

To był moment, na który Kathy czekała.

- Korzystaj z tego, póki można, bo kiedy powstanie tutaj centrum rozrywki, Sue będzie musiała zamknąć interes. Z taką konkurencją nie wygra. A włożyła w to masę pieniędzy i pracy.

Will wycierał nogi i spoglądał na nią.

- Twoja znajoma przesadza - stwierdził obojętnie. - Z centrum będą korzystali turyści. Do nich też będą dostosowane wysokie ceny. Tu jest niedrogo.

- Wątpię, żeby to usunęło obawy Sue - odparła Kathy i zmieniając nieco ton, dodała: - Może jednak spróbowałbyś wyperswadować ten pomysł wujowi? W końcu nie robi tego dla pieniędzy, bo mu ich nie brak, chce tylko spełnić jakiś głupi kaprys.

Błękit oczu młodego Curtisa zmienił się w zimny stalowy kobalt. Podeszedł do niej tak blisko, że prawie jej dotykał. Czuła jego zapach, jego oddech muskał jej skórę.

- Byłbym ci wdzięczny, gdybyś zatrzymała swoje opinie dla siebie, bo pojęcia nie masz, co kieruje moim wujem - powiedział ostro. - Znam go o niebo lepiej niż ty. I zapamiętaj sobie, że we wszystkim go popieram. Jeszcze jedno. Na twoim miejscu w ogóle pozbyłbym się tej obsesji, bo może bardzo zaszkodzić naszym stosunkom.

Podniósł ręcznik i wyszedł, nie oglądając się za siebie. Kathy patrzyła za nim wściekła i zakłopotana. Może rzeczywiście posunęła się za daleko? Miała za to okazję zobaczyć drugą twarz Willa Curtisa. Jak łatwo złość pozbawiała go czaru! Nie mógł też wiedzieć o wuju rzeczy, które wiedziała wyłącznie ona. Powrócił do niej obraz z przeszłości, kartka z pamiątnika matki ze słowami sugerującymi jakiś ohydny postępek Randolpha, który nappełnił życie matki bezgranicznym smutkiem. W tym momencie wiedziała,

że każde jej słowo było uzasadnione, i nie powinna robić sobie wyrzutów. Łzy same pchały się do oczu, kiedy powoli zbierała się do wyjścia.

Kilka minut przed rozpoczęciem dyżuru przed przychodnią stała grupka kobiet i nerwowo zaglądała przez okno do wnętrza.

- Proszę poczekać w poczekalni - poprosiła Kathy, zdziwiona niecodziennym widokiem.

- Kiedy recepcjonistka nie chce nas wpuścić - wyjaśniła zdezorientowana kobieta w średnim wieku, a Kathy od razu z przerażeniem pomyślała o humorach Ruth.

Zaledwie godzinę wcześniej wyszła z przychodni, a sytuacja zmieniła się diametralnie. Z góry, z otworu wiodącego na dach kapąca woda, która zdążyła już utworzyć spore kałuże na wykładzinie i krzesłach. Ruth dzielnie machała mopem i ratowała stosy papieru z zagrożonego terytorium.

- Co się tutaj dzieje? - Kathy osłupiała. - Rura pękła? Nic nie rozumiem. Jest ciepło, nie pada...

- Bóg jeden wie! - odparła Ruth ponuro. - Zaczęło się zaraz po pani wyjściu. Wołałam tego naszego hydraulika i ma podobno przyjść, ale jest w tej chwili przy innej awarii.

Kathy pocierała czoło, jakby to mogło coś pomóc. Akurat teraz, kiedy za moment zjawi się Will! Udało jej się już przed chwilą wyprowadzić go z równowagi, jak zatem zachowa się, widząc przychodnię pod wodą? Dopiero co mówiła mu, że u nich pacjenci liczą się bardziej niż budynek, a teraz być może nie będzie ich gdzie przyjmować.

- Czuję, że tak się stanie - oznajmiła Ruth z satysfakcją. - Od miesięcy są zacieki na ścianach. Cud będzie, jak mury nie zaczną pękać.

Kathy chciała się odciąć, mówiąc, że nikt jej o tym nie poinformował, ale w końcu powiedziała tylko:

- Musimy sobie jakoś z tym poradzić, Ruth. To nie będzie łatwe...

- Tyle to sama wiem.

- Ale na pewno dasz sobie radę.

Ni stąd, ni zowąd stanął przy nich Will.

- Wejść na górę i na razie uszczelnij tę dziurę ręcznikami. Może uda mi się zobaczyć, co się właściwie stało. Proszę zakręcić zawór wody, Ruth. Powinien być pod zlewem.

Ruth skinęła posłusznie i ciężkim krokiem ruszyła do kuchni, głośno wyrzekając:

- Właśnie powiedziałam pani doktor, że to musiało się stać. Od miesiący czekamy na jakiś remont...

Kathy z ulgą zobaczyła, że z twarzy Willa zniknęła nieprzejednana surowość.

- Niezły bałagan - zauważył z cieniem uśmiechu.

- I jaki kosztowny - dodała, a on, jakby czytał w jej myślach, rozejrzał się i rzekł:

- To chyba sygnał, że budynek wymaga dokładnych oględzin. Właściwie skąd ta woda?

- Przypuszczam, że pękła rura, ale tak naprawdę pojęcia nie mam. - Patrzyła mu prosto w oczy. - To było absolutnie nie do przewidzenia.

Sprawił wrażenie rozbawionego jej tonem.

- To jasne, nie jesteś wróżką. Na szczęście masz mnie, a ja jestem lekiem na wszystkie kłopoty, co zostało już dzisiaj dowiedzione.

Była mu nawet wdzięczna za tę zmianę nastroju. Jego rozdrażnienie na siłowni mocno ją dotknęło. Teraz, jakby nigdy nic, wskoczył na kontuar recepcji i zdołał otworzyć klapę w suficie. Woda chlusnęła mu na głowę i spłynęła na podłogę.

- Cholera! - mruknął. Ale kiedy się do niej odwrócił z pasmami mokrych włosów przyklejonych do czoła, znów się uśmiechał. - Faktycznie świetny pomysł. Możesz mi podać ręczniki? Muszę się tam dostać.

Kathy w towarzystwie zdumionych pacjentów przez moment widziała jeszcze wiszące w powietrzu nogi Willa. Po chwili zniknął na poddaszu.

- Brawo! Superman! - krzyknął ktoś nad jej uchem. Ruth wróciła z dwoma wiadrami, wciąż pełna pesymizmu.

- To się źle skończy - zawyrokowała.

Jakby na zamówienie najpierw rozległ się trzask, potem z góry posypały się kawałki drewna i tynk.

- A niech to wszyscy diabli! - skomentował z poddasza Will. - To mają być deski? Uwaga! - Zeskoczył zwinnie, i wycierając z kurzu ręce, odezwał się do Kathy: - Pani doktor, możemy słówko na osobności?

Potulnie ruszyła za nim do gabinetu zabiegowego, obawiając się, że za chwilę usłyszy okrutną prawdę o stanie budynku. Will zamknął za nimi drzwi. Nie ulegało wątpliwości, że był zdenerwowany. Niecierpliwym ruchem odgarniał mokre włosy, na twarzy miał brudne smugi.

- Mówiąc naszym językiem, ten gmach jest śmiertelnie chory. Czy ktoś w ogóle zaglądał na poddasze? Nie znam się na tym, ale gołym okiem widać,

że kable są na wierzchu. Zalała nas woda z nieszczęelnego zbiornika, która od dawna musiała już kapać. Albo zainwestujemy w remont, albo będziemy przyjmować pacjentów na trawie, Kathy.

Mogła tylko przytaknąć.

- Zapewne masz rację. Zaniedbaliśmy coś. Mieliśmy sygnały ostrzegawcze: wilgotne plamy, łuszczące się tapety. Ale ostatnio inne sprawy wydawały nam się ważniejsze...

- No to teraz trzeba zmienić listę priorytetów, i to szybko. Nie mam ochoty pracować pod dachem, który lada moment może zwalić mi się na głowę. Zbyt długo to odkładaliście.

W Kathy powoli rosła irytacja. Łatwo jest krytykować, dużo trudniej znaleźć się w sytuacji, w jakiej ona tkwiła kilka minionych miesięcy. No tak, znów wyszedł z niego Curtis.

- Sprowadzę jakiegoś majstra jeszcze dzisiaj - oznajmiła chłodno. - Żeby przypadkiem coś ci się nie przytrafiło.

- Dobry pomysł - rzucił żywo. - Przydałby się też architekt wnętrz. Nie spodziewam się cudów, chciałbym tylko, żeby dało się pracować. - Spojrzał na zegarek, potem na Kathy, i pod wrażeniem jej zasepionej twarzy wyciągnął rękę i delikatnie dotknął jej policzka. - To naprawdę nie koniec świata. Zajmij się wszystkim spokojnie, a ja trochę popracuję. Daj mi znać, jak ci idzie.

Jej twarz zapłonęła, gorąco rozlało się po całym ciele. Stali chwilę w milczeniu naprzeciw siebie, jakby sklejeni niewidzialnym spoiwem, które na odgłos nachalnego pukania puściło. W drzwiach pojawiła się Ruth.

- Panie doktorze, w tym całym zamieszaniu zapomniałam powiedzieć, że był do pana telefon. Prosili, żeby pan oddzwonił, numer zapisałam. Obym tylko się nie pomyliła, bo połączenie było kiepskie, jak rzadko kiedy.

Wysłuchał tego ze zdziwieniem, a może poruszeniem, które ulotniło się równie nagle, jak przyszło.

- Zadzwoń od siebie - odrzekł uprzejmie. - Proszę nie łączyć żadnych rozmów przez najbliższe kilka minut.

Kathy odprowadziła go wzrokiem, zaciekawiona. Wreszcie, zbита z tropu, usiadła. Stwierdziła, że poświęca mu zbyt wiele myśli. Z pewnością nie był mężczyzną, którym można dyrygować. Za każdym razem, gdy chciała wrzasnąć, rozwścieczona jego zadufaniem, rozbrajał ją uśmiechem. Przeklęty facet! Nacisnęła przycisk, który zapalał lampkę nad drzwiami gabinetu, zapraszając pierwszą pacjentkę.

- Przepraszam, można? - Zza drzwi wychyliła się blada, przestraszona twarz Pat Layton. - Tyle dzisiaj miała pani kłopotów...

- Proszę. Miałam zamiar odwiedzić później pani matkę.

Dali mi znać ze szpitala, że palec jest jednak złamany. Jak ona się czuje?

- Znakomicie. - Pat westchnęła, kręcąc głową z niedowierzaniem. - Ta kobieta jest jak skała. W porównaniu z nią jestem słabeuszem - dorzuciła z nerwowym chichotem.

- Mam nadzieję, że złapią tego drania. Widziała go pani? Pat zaczerwieniła się po uszy.

- Nie, nie. Wszystko działa się w takim tempie. Było ich dwóch, a może i trzeci przy wyjściu, ale nie wiem.

- Oczywiście - odparła Kathy.

Zapanowała cisza. Kathy przyglądała się siedzącej przed nią kobiecie. Pat rzadko korzystała z jej porad, po prostu nie musiała. Wiedza Kathy na temat Pat opierała się głównie na doniesieniach lokalnej prasy relacjonującej jej poczynania. Na wszystkich zdjęciach Pat Layton wyglądała na kobietę, która wie, czego chce. Tym razem było zdecydowanie inaczej. Kathy miała przed sobą osobę załamana, nie uczesana i nie umalowana. Zwróciła się do niej wyciszonym głosem:

- Nie przyszła pani w sprawie matki?

Pat złożyła i zacisnęła dłonie, po czym wykrztusiła:

- Nie, prawdę mówiąc nie... Żyję ostatnio pod jakąś presją. Nie znoszę marudnych ludzi i może to brzmi śmiesznie, ale czuję się kompletnie wyczerpana. Byle co mnie przeraża, boję się... - Przez chwilę zdawało się, że się rozpłacze, ale jakimś cudem udało jej się uśmiechnąć do Kathy. - Głupie, prawda? Pewnie potrzebne mi tylko coś na wzmocnienie.

- Nie ma w tym nic głupiego - odparła Kathy. - Dobrze, że pani przyszła. Co szczególnie panią denerwuje?

Twarcz pacjentki zastygła w niemym cierpieniu.

- Czy ja wiem? Jakies drobiazgi. Każdy urasta do rangi problemu, choć tak naprawdę nie warto o nich wspominać.

Kathy ujęła jej dłonie i dokładnie je obejrzała. Kazała jej zamknąć powieki i stwierdziła, że są bardzo blade.

- Czy oprócz zmęczenia coś pani dokucza? Pat przytaknęła.

- Zawroty głowy. Czasem wali mi serce. Pomyślałam, że to menopauza. Nie mam też apetytu.

- Nie schudła pani ostatnio? Pat zastanawiała się chwilę.

- Nie zauważyłam. Czasem tylko dokucza mi niestrawność i w ogóle odechciewa mi się jeść.

- Chciałabym zbadać brzuch. Proszę się położyć.

- Nigdy nie miałam problemów z żołądkiem - wyjaśniała Pat nerwowo.

Kathy chciała ją jakoś uspokoić.

- Ma pani rzadką okazję poleżeć, więc niech pani korzysta. Prowadzi pani tak zabiegane życie. A na dodatek ma pani dwóch synów, jeśli się nie mylę.

Natychmiast pożałowała tych słów. Pat spięła się, przez jej twarz przebiegł cień paniki. Odezwała się bardzo nieprzyjaznym głosem:

- Zna ich pani? Może tu byli?

- Ależ nie - odparła Kathy, zdumiona jej reakcją. - Od dawna ich nie widziałam, muszą już mieć po kilkanaście lat. Czemu pani pyta? Coś nie tak z ich zdrowiem?

- Nie, wszystko w porządku. - Zaśmiała się nieszczerze. - Takie tam problemy nastolatków.

Kathy pochyliła się nad pacjentką ze stetoskopem. Przyłożyła go do brzucha i usłyszała rytmiczną pracę jelit. W badaniu palpacyjnym nie wykryła żadnych nieprawidłowości. Wątroba i żołądek były w porządku.

- No i nie ma powodu do zmartwień - oznajmiła. - Co znaczy, że problem tkwi w czym innym.

- A więc jednak nie przyszłam niepotrzebnie? Bałam się, że tylko zawracam głowę.

- Ależ skąd. - Głos Kathy brzmiał pewnie i kojąco. - Dam pani coś na niestrawność i poproszę o wykonanie badania krwi. Zależnie od jego wyniku będziemy się dalej umawiać.

Pat wydawała się wciąż zmartwiona.

- Chce mi pani powiedzieć coś jeszcze? - spytała Kathy. Pacjentka gwałtownie zaprzeczyła, poderwała się z krzesła i pedantycznie otrzepywała spódnice, odwracając wzrok.

- A zatem - odezwała się znów Kathy - widzimy się za tydzień. Proszę iść z tym skierowaniem jutro rano do szpitalnego laboratorium.

- Dziękuję.

Pat niemal wybiegła z gabinetu, co tym bardziej przekonało Kathy, że kobieta coś przed nią zataiła. W karcie zapisała: „Problemy życiowe”.

Tymczasem z holu dobiegało kucie i stukoty. Hałas dochodził z góry, Ruth konferowała z robotnikiem, zerkając na otwór w suficie. Kathy z ulgą skonstatowała, że zaczęło się dziać coś pozytywnego.

- Dużo czasu wam to zajmie? - spytała trochę przerażona widokiem sterczących drzazg i spadającego tynku.

- Gdzie tam! - odparł Charlie Lannox, który niewątpliwie należał do optymistów. - Powiedziałem już temu nowemu doktorowi, że jeśli popracujemy cały wieczór, rano będzie gotowe.

- A gdzie jest doktor Curtis? Chciałabym się z nim zobaczyć, zanim pójdzie do szpitala.

Ruth popatrzyła na nią niewinnie.

- A pognał gdzieś po tym telefonie. Mówił, że musi się z kimś pilnie zobaczyć, i że prędko wróci.

- Przecież ma komórkę, nie można go jakoś złapać? - Kathy dziwnie się zaniepokoiła.

- Nie odpowiada - oświadczyła beznamiętnie Ruth.

- Ach tak - mruknęła Kathy, ogarnięta nagłą złością. Co za bezmyślny facet! A jeśli będzie go potrzebować?

- Poproś go do mnie, kiedy przyjdzie - rzuciła i powędrowała z powrotem do gabinetu.

Oczekiwała, że Will będzie odpowiedzialny. Potrzebowała kogoś, komu mogła ufać bezwarunkowo i w każdej chwili. Minęła jednak godzina, a Will nie dał znaku życia. Postanowiła, że jeśli nie zjawi się w ciągu najbliższych pięciu minut, wyjdzie, nie czekając. Wstawała już z krzesła, gdy zatrzymał ją głos z interkomu.

- Dzwoni pani siostra - oznajmiła Ruth. - Jest w stajni i chce z panią pilnie rozmawiać. Okropnie wzburzona.

- No to łącz. - Kathy spodziewała się usłyszeć przeprosiny za kolejne spóźnienie na kolację, co zdarzało się zawsze, gdy Lindy szła się uczyć do którejś z koleżanek. - Cześć. - Chciała uprzedzić słowa siostry. - Nie mam nic przeciw temu, żebyś poszła do Jenny, mnie też nie będzie wieczorem. Zresztą, masz w lodówce mnóstwo zieleniny.

- Kathy... - Głos Lindy był zmieniony nie do poznania, brzmiał niemal dziecięco i był bardzo napięty. - Stało się coś strasznego. Sir Randolph... - Głos Lindy załamał się.

- O co chodzi? Mów! Skrzywdził cię ten drań?

- Nie... Chciał wsiąść na konia i upadł. Potwornie cierpi, a jeszcze gorzej wygląda, ale nie pozwala mi wezwać karetki. Upiera się, żeby najpierw zbadał go bratanek, ten jakiś Will.

Kathy poczuła satysfakcję i jednocześnie zawstydzila się z tego powodu. Oto wspaniały Will jest poza zasięgiem, w chwili gdy potrzebuje go ukochany wuj. Omal nie zapomniała w tym wszystkim o Lindy, która znalazła się w sytuacji bez wyjścia.

- Kochanie, nie wiem, gdzie on jest. Czeka tam na mnie, zaraz przyjadę. Gdzie boli Randolpha? W klatce piersiowej?

- Nie. No wiesz, w pachwinie. Zwija się z bólu...

- Postaraj się ułożyć go wygodnie i powiedz, że za moment nadejdzie pomoc. Jeśli będzie miał też szczęście, znajdzie się i jego bratanek, zostawię mu wiadomość. Lindy, trzymaj się!

Na podstawie relacji siostry Kathy przypuszczała, że Randolphowi uwięzła przepuklina. Wymagało to szybkiej interwencji. Jeżeli ten stary głupiec do jej przyjazdu nie wyrazi zgody na karetkę, będzie musiała go do tego przekonać.

Czuła się dotknięta i oburzona. Nowy lekarz miał ją wspierać, zwłaszcza w trudnych sytuacjach, tymczasem był szybki w wydawaniu sądów, ale w potrzebie całkowicie zawodził. Sięgnęła po kartkę i zapisała: „Nie mogłam się z tobą skontaktować. Pojechałam do twojego wuja, który miał wypadek. Przyjeźdź do stajni jak najszybciej”. Podpisała się jeszcze i z torbą lekarską w ręce wybiegła z gabinetu, po drodze podając kartkę Ruth.

- To ma dotrzeć do doktora Curtisa. Jadę do stajni Curtisów i będę tam na niego czekać.

Mknęła samochodem drogą z Bentham do posiadłości Randolpha, nie mogąc doczekać się chwili, kiedy będzie miała szansę odsądzić Willa od czci i wiary. Oby tylko znalazł jakieś alibi!

ROZDZIAŁ CZWARTY

Stajnia nie jest najlepszym miejscem do badania pacjenta, pomyślała, szybko lustrując miejsce. Klęczała obok chorego, który skręcał się z posiniałą na skutek cierpienia twarzą.

- Wiem, że to trudne, ale bardzo proszę rozluźnić mięśnie, bo inaczej nie będę mogła stwierdzić, gdzie jest źródło bólu.

Z pomocą przyszła jej Betty Cooper, gospodyni Randolpha. We dwie ułożyły go na pledzie, podłożyły mu pod głowę poduszkę. Mężczyzna był w szoku, oddech miał przyspieszony i płytki, puls - słaby, ledwo wyczuwalny. Skóra była wilgotna i zimna.

- Niech mnie pani zostawi - burczał pod nosem. - Sforsowałem się. Nie ma o czym gadać. Tylko trochę kręci mi się w głowie.

Kathy nie zważała na jego protesty. Ty uparty staruchu, myślała, trzeba być idiotą, żeby nie zgodzić się na wezwanie karetki. Fakt, że chory jest zdany tylko na nią, właściwie nawet jej odpowiadał.

- Moim zdaniem to coś więcej niż nadwężenie mięśni - stwierdziła, delektując się chwilą władzy.

Odgłosy, jakie dochodziły do niej przez stetoskop przytknięty między udem a podbrzuszem wskazywały, że ma do czynienia z zablokowaniem jelita. Lindy i Betty Cooper taktownie usunęły się na bok. Kiedy jednak Kathy zakończyła badanie i nakryła chorego kocem, Lindy nie wytrzymała:

- I co?

Kathy uśmiechnęła się uspokajająco.

- Świetnie, że do mnie zadzwoniłaś. Sir Randolph powinien jak najszybciej znaleźć się w szpitalu. Wymiotował?

- Trochę mnie zemdliło, do diaska! Wielkie rzeczy! - Randolph Curtis wiercił się na kocu. - Chcę tylko coś przeciwbólowego, choćby aspirynę.

- To nie wystarczy - odparła beznamiętnie Kathy.

- Co mu jest? - Lindy była coraz bardziej przestraszona.

- Skończcie te szeptki - burknął. - Nie znoszę tego, chcę wiedzieć, o co chodzi.

Kathy skrzywiła twarz w półuśmiechu. Choć Randolph Curtis budził w niej nienawiść, musiała przyznać, że jak na człowieka w jego stanie, zachowuje się zaskakująco dzielnie. Nie mogła mu z pewnością odmówić hartu ducha. Jednocześnie sytuacja była absurdalna. Oto ratowała człowieka, któremu życzyła jak najgorzej. Najchętniej wykorzystałaby moment i

wykrzyczała mu prosto w twarz, co o nim myśli, ale westchnęła tylko i przyklękła przy nim ponownie.

- Jestem prawie pewna, że ma pan uwięzniętą przepuklinę. Natychmiast potrzebny jest chirurg.

- Co? - wycedził przez zaciśnięte z bólu zęby. - Jaki chirurg? A pani nie wystarczy?

- Trzeba otworzyć brzuch, bo to właśnie skręcone jelito sprawia panu ból. Gdybyśmy to tak zostawili, byłby kłopot z krążeniem.

Nie dodała już, że mogło to prowadzić do zgorzeli, nie chciała być aż tak brutalnie szczerą.

Randolph patrzył na nią kamiennym wzrokiem.

- Nie znoszę szpitali. Jest pani pewna, że operacja jest jedynym wyjściem?

- Jestem więcej niż pewna - odparła zdecydowanie.

- Gdzie się podziewa ten mój cholerny bratanek? Chcę, żeby mnie zobaczył, zanim dam się pokroić.

- Niestety, nie wiem - odrzekła chłodno. - Ktoś wezwał go telefonicznie, ale nie wiem dokąd. Zostawiłam mu wiadomość w przychodni. Obawiam się jednak, że nie możemy dłużej czekać. Wzywam karetkę.

Lindy pierwsza dostrzegła zbliżający się od strony miasta samochód, który po chwili ostro zahamował. Will pospiesznie wyskoczył na podwórze, przeczesując dłonią rozczochrane włosy. Podobnie jak przed paroma minutami, Kathy się zirytowała. Miała znów obok siebie mężczyznę, którego każde pojawienie się zmieniało na krótki moment jej świat. A przecież obiecała sobie, że nigdy go nie polubi.

Nie wspominając już o tym, że nie domyślała się nawet, jakie ona wzbudza w nim uczucia. Zachowywał wobec niej rezerwę i nie sposób było stwierdzić jednoznacznie, czy pełne ciepła spojrzenia, jakimi ją obdarzał, były czymś wyjątkowym, czy też może należały do jego stałego repertuaru w stosunkach z kobietami. Teraz zaskoczyło ją, że widok wuja tak bardzo go zaniepokoił. Może dlatego, że przy każdym innym pacjencie zadziwiał ją opanowaniem?

Przywołał jakoś uśmiech na twarz, siadł obok wuja i pogłaskał go po czole.

- Co się stało? - spytał cicho.

- Gdzie, do diabła, byłeś? - wyszeptał Randolph, jakby czytał w myślach Kathy. - Czekamy tu... - zaczął, ale głos mu się załamał, a głowa opadła bezwolnie na poduszkę.

Will natychmiast chwycił przegub jego dłoni, starając się wyczuć nikły puls. Odwrócił się do Kathy z pytaniem w oczach.

- Moim zdaniem to uwięźniętą przepuklina, a badanie wykazuje też blokadę w jelitach. Brzuch jest bardzo wzdęty, dlatego tak cierpi - oznajmiła Kathy rzeczowo.

- Czyli operacja?

- Tak. Zresztą wymiotował. Ale za skarby świata nie pozwolił zabrać się do szpitala bez twojego pozwolenia.

Will spojrzął na leżącego z zamkniętymi oczami wuja.

- Nie ma wyboru - oświadczył.

Wyciągnął komórkę i wystukał numer. Rzucił do słuchawki szybkie wskazówki, dotyczące drogi do stajni i stanu chorego.

- Zaraz będą - poinformował cicho. Ujął ponownie dłoń wuja i zapewnił go ciepłym, acz stanowczym tonem: - Musisz jechać.

- Dałbyś mi chociaż whisky - mruzczał błagalnym tonem Randolph. - To najlepsze lekarstwo.

- Na pewno pomogłoby ci odejść z tego świata. - Will uśmiechnął się niewyraźnie.

- Ani jednego dnia nie spędziłem w żadnym parszywym szpitalu. Zaraz się stamtąd wypiszę. - Głos chorego słabł.

- Oczywiście, ale wtedy pozostanie ci już tylko jedno miejsce, pozwól, że go nie nazwę - powiedział Will twardo, po czym zmienił ton: - No, nie bądź upartym staruchem, wiesz, jak bardzo cię teraz potrzebuję. Nie marudź, zrób to dla mnie.

Kathy nie zdziwiła się, kiedy Randolph przestał się wyklócać i opadł pokornie na poduszkę. W tym stanie podejmowanie samodzielnych decyzji było wykluczone.

- Nabierasz mnie, a ja pewnie znów się poddam. Nie chcę być twoim kolejnym kłopotem. - Stary mężczyzna próbował się uśmiechnąć, co w Kathy wzbudziło nieoczekiwany podziw dla niego.

Wyraźnie byli sobie bliscy, ten stary nicpoń i młody lekarz, i dlatego nietrudno było Willowi przekonać wuja. Kathy nie domyślała się wprawdzie, co miał na myśli Will, mówiąc, że potrzebne mu teraz wsparcie. Może chodziło mu o chorego ojca?

- Byłaś tu, kiedy to się stało? - Will odwrócił się do Lindy. Oczy dziewczyny były pełne lęku. Rozmazany makijaż

świadczył o tym, że płakała. Głośno wytarła nos i spojrzała na Willa niewesoło.

- Tak - wyszeptała drżącym głosem. - Nie wiedziałam, co robić. On nie pozwalał nikomu się zbliżyć, czekał tylko na pana.

- Świetnie dałaś sobie radę - pochwalił ją. - Wiem, że to był dla ciebie szok, ale nie martw się już, dobrze? Idź teraz z siostrą i Betty do domu, zróbcie sobie herbatę. Ja tu zaczekam na karetkę, a potem wszystko się ułoży.

Kathy objęła Lindy.

- Will ma rację. Nie ma to jak filiżanka dobrej herbaty.

- A do tego słodkie herbatniki - dorzuciła Betty. - Na kłopoty najlepsze są słodczyce. Prawda, Kathy? - Mówiąc to, spojrzała na swojego pracodawcę i potrząsnęła głową. - Okropne. Taki nagły atak. Gdyby nie Lindy, leżałby tu nie wiadomo jak długo.

- Przytrzymałam mu konia - wyjaśniła dziewczyna.

- Tego pięknego Zefira. Osiodłałam go, a sir Randolph zdążył tylko włożyć stopę w strzemień i upadł z krzykiem, trzymając się za brzuch. Koń zaczął się niecierpliwić, a ja kompletnie zgłupiałam.

- Byłaś bardzo dzielna - powtórzyła Kathy, przytulając ją. - Od dawna musiał mieć przepuklinę. Zapewniam cię, że gdybym ja miała z jednej strony chorego, a z drugiej stojącego dęba konia, od razu bym zemdląła.

Lindy zrobiła tajemniczą minę i, pociągając nosem, oświadczyła:

- Ja też coś ci powiem. Podoba mi się ten twój Will. Jest miły i troskliwy. Pamiętasz, że pomyślał o tym, co ja czuję? Chyba nie kosztowałoby cię zbyt wiele, żebyś i ty go trochę polubiła.

Kłopot w tym, że Kathy zaczynała go lubić więcej niż trochę. Sztucznie obojętnym tonem zauważyła:

- Wcale go nie znasz. Nie bywasz u mnie w pracy.

- Spotykam go tutaj. - Lindy miała gotową odpowiedź.

- I powiem ci, że obaj są dla mnie grzeczni, a zwłaszcza Randolph. Poza tym Will nie może odpowiadać za wuja. Wierzę zresztą, że stary Curtis nie działa bez głębokiego namysłu.

Kathy przysłuchiwała się temu z rosnącym zdumieniem.

- Tak sądzisz? - rzuciła rozdrażniona. - No to wiedz, że robi to dla pieniędzy. A może opowiadał ci jakieś bajki?

- Nie - przyznała Lindy, onieśmielona atakiem siostry.

- Ale założę się, że nie robi tego dla zysku. On szczerze kocha swoją ziemię, mówił mi.

Kathy parsknęła z niedowierzaniem. Sygnał karetki przerwał im rozmowę. Poczwała, że powinna być u boku chorego, toteż poklepała siostrę po ramieniu i odezwała się:

- Zobaczę, co się tam dzieje. Poczekaaj na mnie z Betty, a potem przygotuję ci super kolację, dobrze? To na razie.

Nazajutrz Kathy spotkała Willa w zabiegowym, gdzie opadł bezsilnie na krzesło z wyciągniętymi nogami.

- Jak tam wuj? - spytała.

Było późne popołudnie, Kathy skończyła dyżur, ale chciała jeszcze zamienić słowo z Willem, dowiedzieć się, być może, gdzie zniknął bez śladu poprzedniego dnia.

- Miał wyjątkowo niskie ciśnienie, osiemdziesiąt na czterdzieści, chociaż od razu dali mu kroplówkę. Rozmawiałem z Kevinem Stuartem, który będzie go operował.

- To nie jest skomplikowana operacja. Prawie zawsze się udaje. A twój wuj jest chyba silny.

W oczach Willa czaił się znaczący błysk.

- Naprawdę tak myślisz? Powiem ci, że jest nawet zbyt twardy. Od tygodni go pobolewało, ale kompletnie to zlekceważył.

- Mówiłam ci, że jest uparty. Może teraz mi uwierzysz. Popatrzył na nią rozbawiony.

- W życiu codziennym jest raczej wytrwały i bardzo konsekwentny.

Głęboko westchnęła i ugryzła się w język. Do diabła z wujem, musi omówić z Willem inne sprawy.

- Bardzo mnie zdenerwowałeś - zaczęła poważnie.

- Ja? Czy w związku z zaniem? Już prawie skończyli naprawiać.

Przez ściany gabinetu dobiegało przytłumione stukanie.

- Nie o to chodzi - rzuciła gwałtownie. - Wyszedłeś stąd po południu, nie mówiąc ani słowa. Wyłączyłeś komórkę. Chyba zdajesz sobie sprawę, że mogłeś być tu potrzebny. Tylko jakiś pilny wypadek mógłby usprawiedliwić takie zachowanie.

Wstał, włożył ręce do kieszeni i podszedł do okna.

- To było pilne.

- Pacjent? - dopytywała się uparcie, przyzwyczajona do tego, że z Harrym omawiali sprawy swych podopiecznych.

- Ojciec - odparł, odwracając się ku niej. - Zrobię wszystko, żeby to się nie powtórzyło. A sekretarka w telefonie po prostu wysiadła.

- Poinformuj nas, gdzie jesteś, kiedy znów wybierzesz się na wycieczkę.

Tego było mu już za wiele. Stał się nieprzyjemny.

- To nie była wycieczka. Wezwano mnie do ojca i nie miałem jak zadzwonić!

Dla Kathy było oczywiste, że Will Curtis nie przyjmuje do wiadomości żadnej krytyki. Każdy zarzut odpierał zniecierpliwionym atakiem, stawał się nieprzystępny i obcy. Gdyby choć wspomniał, co dolega jego ojcu! Musi się tego dowiedzieć. Zapytała wprost:

- Na co choruje twój ojciec?

Jego twarz spochmurniała, za to głos złagodniał.

- To dość skomplikowane - odparł lakonicznie. - Chciał pilnie coś ze mną przedyskutować.

Kathy aż się zaróżowiła ze złości.

- Na Boga, jeśli tylko o to chodziło, mogliście chyba poczekać!

- Niestety. - Dystans, jaki stwarzał, zniechęcał do dalszych pytań. - To nie mogło czekać ani chwili - podkreślił.

Kathy nie miała ochoty na kłótnie w pierwszych dniach wspólnej pracy. Nie mogła też dopuścić, by Will postępował w taki sposób. Gdyby przynajmniej pokazał, że mu przykro, ale czy można spodziewać się przeprosin od Curtisa? To wbrew jego naturze.

Will przyglądał się jej przez krótką chwilę, potem wyciągnął z kieszeni rękę i odgarnął kosmyk włosów, który wysunął się z jej gładkiej fryzury. Kathy odskoczyła.

- Złość dodaje ci urody - powiedział, przekrzywiając na bok głowę i splatając dłonie.

- Co? - Kathy oniemiała.

Ta uwaga wyprowadziła ją z równowagi. Do tego bezczelnie zmienił temat, co świadczyło tylko o tym, jak bardzo ją lekceważy. Jeszcze większy wstyd i oburzenie ogarnęły ją, gdy zdała sobie sprawę, że jego słowa jej pochlebiły. Spojrzała na niego lodowato.

- Takie żenujące uwagi robią mężczyźni, kiedy nie wiedzą, co powiedzieć.

- Przykro mi, że tak mnie osądzasz - odparł swobodnie.

- Chciałem cię tylko zapewnić, że zrobię, co w mojej mocy, żeby taka sytuacja się nie powtórzyła. - Przerwał na moment i dodał: - Nie wydaje ci

się, że w tej sprawie nie jesteś obiektywna? Może powinnaś znaleźć sobie jakieś hobby? W końcu świat nie kończy się na gabinecie zabiegowym.

Tym razem zagotowała się ze złości. - Uważasz, że jestem głupia? Jak śmiesz mnie oceniać? - wybuchnęła. - Mam tysiące zainteresowań, tak dużo, że brak mi na wszystkie czasu. Właśnie dlatego oczekiwałam, że mój nowy kolega mnie wesprze. Może w Afryce mogłeś sobie bardziej pofolgować!

Stał tuż przy niej, na wyciągnięcie ręki. I zaraz przełamał ten dystans, kładąc dłoń na jej ramieniu w geście pojednania.

- Przepraszam - odezwał się. - Masz rację, tam było więcej luzu. Naprawdę nie chcę cię zawieść.

Z wyrazu jego twarzy można było odczytać, że pragnął powiedzieć o wiele więcej, ale nie potrafił ubrać tego w słowa. Kathy przemknęło przez myśl, że być może przywiązuje zbyt dużą wagę do tego epizodu. Postanowiła zatem szybko to wyjaśnić.

- Nie krytykuję twojej pracy - zaczęła niepewnie. - Chodzi o to, żebym mogła ci ufać, polegać na tobie w każdej chwili. Ostatnie miesiące borykałam się ze wszystkim sama. Kto wie, może trochę straciłam cierpliwość. - Spojrzała na niego pytająco. - Zdaję sobie sprawę, że powrót do Anglii był dla ciebie trudny. Nie wiem, czy w ogóle opuściłbyś Zimbabwe, gdybyś nie musiał.

- Słuszna uwaga - stwierdził ze smutkiem. - Nie planowałem powrotu, przynajmniej nie tak prędko. Pokochałem Afrykę, lubiłem tamtą pracę. Rozstanie nie było łatwe. - Oparł się o ścianę. - No ale po przyjeździe tu zostałem mile zaskoczony. Bentham zachowało urodę, którą pamiętam z dzieciństwa. Bardzo mi się podoba to miasto... i wszystko, co w nim jest. Czuję, że będzie mi się tu dobrze żyło.

- Czas na mnie - odparła Kathy, zmieszana nagle tym dwuznacznym wyznaniem, porwała torbę i pospieszyła do wyjścia.

W drzwiach zatrzymała się na chwilę i obejrzała z uśmiechem igrającym wokół ust.

- Mam masę zainteresowań, które nie mają nic wspólnego z medycyną, jeśli chcesz wiedzieć.

- Na przykład? - spytał z zabawnym błyskiem w oku.

- Nie sądzę, by zrobiło to na tobie wrażenie. Na przykład występuję w przedstawieniu przygotowywanym przez nasze Towarzystwo Teatralne. Jutro wieczorem mamy próbę. Nie myśl, że przychodnia wypełnia całe moje życie. ,

Will nie mógł dłużej powstrzymać uśmiechu.

- No, no - powiedział. - Powinienem się być domyślić, że jesteś aktorką.

- Może cię zainteresuje - jej głos zabrzmiał dumnie - że nie gramy bynajmniej dla zabawy. Zbieramy fundusze na protest przeciw planom twojego wuja. - Przeszyła go ostrym spojrzeniem i wyszła z pokoju.

Will opadł na krzesło i z dziką pasją zgniótł kartkę, którą trzymał cały czas w dłoni i bezskutecznie próbował trafić nią do pojemnika na śmieci. Od czasu do czasu wracało do niego marzenie, by od nowa napisać scenariusz dotychczasowego życia, i z goryczą stwierdzał, że to niemożliwe. Dzwonek telefonu wzbudzał w nim nienawiść. W końcu od niego zaczęły się jego obecne kłopoty.

Z przerażającą dokładnością pamiętał dźwięk starego aparatu telefonicznego w głównym budynku przychodni w La-gardzie! Od tamtego czasu minęły dwa miesiące, a widział ten moment niczym wyświetlany mu przed nosem film. Był wówczas pewny, że dzwoni ojciec z życzeniami urodzinowymi. U sufitu szumiał wentylator, rozbełtując gęste powietrze, na zewnątrz grupka dzieciaków szczebiotała wesoło. Sięgnął po słuchawkę. Miał ojcu tyle do powiedzenia.

O swojej pracy w buszu, o tym, jacy dobrzy są miejscowi ludzie...

Nie był to, niestety, oczekiwany przez niego głos. W słuchawce usłyszał wuja, którego słowa brzmiały jak najgorszy z koszmarów i kompletnie niweczyły nadzieję Willa na spędzenie kolejnego roku w Afryce. Po ostatnim zaś, równie niespodzianym telefonie, Will nie wiedział, czy powinien stać się dumny, czy cyniczny. Niełatwo jest być jedynakiem, na którego barkach spoczywa cała odpowiedzialność. Nie pomagało nawet wsparcie wuja. Tak czy owak, czuł się w tym wszystkim osamotniony. Miał tylko nadzieję, że gdzieś na końcu drogi ujrzy światelko. Popołudniowe spotkanie z ojcem pozwoliło mu spodziewać się jakiegoś rozwiązania. Wystukał kilka cyfr na komórce.

- Czy to biuro prawne? - spytał. - Mówi Will Curtis. Proszę przekazać panu Conradowi, że chciałbym z nim porozmawiać w sprawie ostatnich rozstrzygnięć.

Próba nie wypadła najlepiej. Po pierwsze, nie pojawił się odtwórca głównej roli, który zwicznął sobie nogę w kostce. Kathy z kolei była zmęczona kłopotami w pracy, a zwłaszcza sprzeczką z Willem. Przez moment zwątpiła we własne poczucie humoru, które zdawało się ją

opuszczać w nawale pracy oraz wtedy, gdy zbyt wiele czasu poświęcała rodzinie Curtisów.

- Kathy, teraz ty wchodzisz. To bardzo ważna scena, nasz bohater wyznaje ci miłość...

Na dźwięk słów Molly, reżyserki przedstawienia, Kathy poderwała się z poczuciem winy.

- Wybacz. Możemy to powtórzyć? Chyba się pogubiłam - przyznała.

Molly znacząco uniosła wzrok ku niebu i powiedziała rozzalona w przestrzeń, by słyszeli ją wszyscy obecni:

- No i co ja mam zrobić? Główna aktorka buja gdzieś w obłokach, głównego bohatera w ogóle nie mamy... Zróbmy przerwę na herbatę, a ja pomyślę, co jeszcze da się dzisiaj zdziałać.

- Widzę, że i tu źle się dzieje - Kathy usłyszała czyjś głos tuż przy uchu.

Obok stał nikt inny jak Will Curtis, w dzinsach i starej marynarce, z miną chłopca, który ma ochotę nabroić.

- To ty? - Kathy uniosła brwi ze zdumienia. - Skąd się tutaj wziąłeś?

- Kolega, który wynajmuje mi barcę, powiedział, że potrzebujecie technicznego. Znam się trochę na robocie w drewnie, więc przyszedłem. Oczywiście - dodał ciepło - nie mogłem też nie ulec pokusie zobaczenia ciebie na scenie. W końcu sama mi o tym wspomniałaś.

Kathy poczuła, że purpurowieje. Wcale go tu nie zapraszała. Nie miała najmniejszej ochoty, by z sardonicznym uśmieszkiem przyglądał się, jak odrzuca zaloty swojego partnera i w najważniejszym momencie zapomina tekst.

- Nie sądziłam, że cię to zainteresuje - wyjąkała. - Poza tym, znając nasz cel, mógłbyś czuć się skrępowany.

- Jakoś muszę z tym żyć - rzucił. - Przecież wiem, że nie wszyscy popierają plany wuja. - Spojrzał na nią pogodnie.

- Ale nie masz mi za złe, że tu jestem? Człowiek powinien mieć jakieś hobby. Najwyraźniej dobrze się bawicie.

Kathy nie znajdowała odpowiedzi poza tym, że dałaby wiele, by mieć teraz na sobie coś bardziej kobiecego niż stare dzinsy. W tej samej chwili wróciła Molly, ze scenariuszem pod pachą. Natychmiast doceniła urodę Willa.

- Nowy rekrut? - zawołała radośnie. - A co potrafisz?

- Podobno nie macie technicznego. Jestem Will. Molly promieniała.

- Co za cudowna niespodzianka! Świeża krew zawsze mnie cieszy! - Jeszcze raz dokładnie mu się przyjrzała. - A może umiesz coś więcej? Brakuje nam dzisiaj obsady.

- To znaczy?

Kathy przeszył dreszcz. O nie! Nie dopuści do tego, by Molly poprosiła...

- Nie możemy skończyć tej cholernej sceny! Byłbyś tak dobry i zagrał partnera Kathy? Tylko dziś? Dzięki temu przebrnęlibyśmy przez całość.

Will był gotów, Kathy jednak zeszywniała.

- Będę zaszczycony - oświadczył. - Zrobię wszystko, co zechcesz,

Molly aż klasnęła w dłonie z ukontentowania.

- Świetnie! Cisza! Will był tak miły, że zgodził się zastąpić Petera. Na miejsca proszę i zaczynamy od początku.

Kathy roznosiła furia, zwłaszcza gdy patrzyła na Willa i nie potrafiła odgadnąć jego myśli. Pewnie śmiał się w duchu. Ona tymczasem nie wyobrażała sobie, że stanie za moment naprzeciw niego na scenie. W pracy ledwo radziła sobie z emocjami w jego obecności, nowe otoczenie było jeszcze trudniejszym sprawdzianem. Pierwsze słowa tekstu mówiła sparaliżowana lękiem i zażenowaniem.

Nigdy jeszcze tak nie wypatrywała końca próby. Will niemal cały czas znajdował się blisko niej, zgodnie z wymogami scenariusza. Obejmował ją, przytulał, drażnił jej policzek całodniowym zarostem. Nie wiedziała, dlaczego wydawał jej się teraz wyższy i silniejszy niż w przychodni. Jego fizyczność wdzierała się jej pod skórę. Sprawiał też wrażenie mocno pochłoniętego nową rolą. Z wyraźnym entuzjazmem spełnił polecenie Molly, by wziąć Kathy w ramiona, choć ta opierała się, jak mogła. Wiele razy rozlegało się tego wieczoru wołanie reżyserki:

- Kathy, przysuń się do niego!

Kathy robiła to niechętnie. Aktorstwo za bardzo zbliżyło się do życia, co byłoby bez znaczenia, gdyby nie wspólna praca i jej fascynacja Willem. Podejrzewała, że Will, który doskonale rozumiał jej zachowanie, rozkoszował się każdą wspólnie spędzoną na scenie minutą.

- A teraz - zawołała Molly - przełomowy moment tej sceny, kochani! On ją całuje. To ma być zdecydowane i niespodziane, w związku z czym ona jest zaskoczona, ale ostatecznie ulega. Zdała sobie właśnie sprawę z tego, że chyba go kocha.

Kathy oddałaby ostatni grosz, by znaleźć się na drugim końcu świata. Zebrała się i zaczęła desperacko błagać:

- Czy nie lepiej zostawić to do jutra? Wydaje mi się, że do tego potrzebny jest Peter. On wie, jak to zrobić, w końcu i tak z nim będę grała. Will jest dużo wyższy i mogłabym źle obliczyć ruchy czy coś takiego...

Zaplątała się i kątem oka spojrzała na Willa, coraz bardziej ubawionego jej bezradną przemową.

- Jak chcesz. - Molly było w tym momencie wszystko jedno. - Faktycznie lepiej byłoby próbować tę scenę z właściwym partnerem...

- Masz stuprocentową rację.

Ten niski głos należał do Willa. Kathy zdążyła tylko to odnotować i znalazła się w jego ramionach. Gdy ją namiętnie całował, jej ciało wbrew jej woli bezwstydnie mu się poddawało. Instynktownie objęła go za szyję i jeszcze bardziej przyciągnęła do siebie. Miotaly nią sprzeczne uczucia: wstyd, szok, fizyczne zauroczenie, czyste szaleństwo. Przez kilka sekund przebywała w innym świecie, w jego świecie, po czym z całą siłą, na jaką było ją stać, odepchnęła go. Stali naprzeciw siebie bez tchu, Will zapatrzony w nią, ona - odwracając wzrok. Jego dłonie wciąż spoczywały na jej ramionach i nie pozwalały jej się ruszyć.

- Nigdy bym nie pomyślał, że aktorstwo to taka fajna sprawa - odezwał się z leciutką ironią w głosie.

Próbowała uspokoić serce i stanąć pewniej na uginających się pod nią kolanach. Miała teraz przed sobą jeden cel: pokazać mu, że sceniczny pocałunek nie zrobił na niej żadnego wrażenia. Zaczerwieniona ze wstydu, spojrzała na zegarek i odezwała się możliwie chłodno:

- Robi się późno. Muszę lecieć. Chcę jeszcze wpaść do Petera, upewnić się, że jutro będzie na próbie.

Molly ruszyła w ich kierunku, machając scenariuszem:

- To było bombowe! - wołała podniecona. - Gdyby nie to, że mamy już głównego bohatera, wzięłabym cię od razu, Will.

Kathy obdarzyła ją jednym ze swoich najgroźniejszych spojrzeń i pospieszyła do garderoby po płaszcz. Co teraz robić? Nie może udawać przed sobą, że pocałunek na scenie nie wstrząsnął nią do głębi. To już nie była tylko fascynacja, właśnie przeżyła pierwszy akt fizycznego spełnienia, z pełną świadomością, że następny wydaje się jej równie pociągający.

Do tego wszystkiego męczyło ją podejrzenie, że Will traktuje to jak żart. Chwile, w których jego słowa były czymś więcej niż przekomarzaniem się, zdawały jej się nieliczne. Incydent na scenie tylko to potwierdzał. W tego mężczyznę nie warto inwestować, myślała, przeklinając własną słabość.

Nie przypuszczała, że tak prędko będzie musiała stawić czoło kolejnej próbie. Will czekał na nią przy wyjściu.

- Czy bohaterka wieczoru pozwoli się podwieźć?

- Dziękuję - odparła ze złym błyskiem w oku. - Mówiłam, że idę do Petera. Poza tym, chcę się przejść.

Will spojrział na ciemne, zachmurzone niebo.

- Porządnie zmokniesz. No to jak?

- Powiedziałam: nie! - Włożyła w te słowa wielką energię. - Cześć, do jutra.

Odwróciła się i szybkim krokiem odmaszerowała w dół ulicy, nasiąkając po drodze deszczem. Will wołał za nią, krztusząc się ze śmiechu:

- Dobranoc, Saro Bernhardt, pchły na noc!

W świetle latarni krople deszczu udawały klejnoty, a miodowe włosy Kathy nabierały złotego połysku. Will przeklinał w duchu złożoną ojcu i wujowi obietnicę, że nie zdradzi nikomu powodu sprzedaży ziemi. Kathy z pewnością by go zrozumiała.

- Zachowałem się jak głupiec - mruknął do siebie z westchnieniem. - Sam jestem sobie winny, że ona mi nie ufa.

Ze złości kopnął jakiś kamyk, który znalazł się nieopatrznie na jego drodze. Minione miesiące były dla niego pasmem poświęceń i rezygnacji. Tym razem postawi na swoim. Byłby doprawdy ostatnim idiotą, gdyby nie zyskał uczucia kobiety, która od pierwszej chwili zawładnęła jego myślami. Był zdecydowany zdobyć Kathy Macdowell wbrew wszelkim przeciwnościom.

Z postawionym kołnierzem i rękami w kieszeniach ruszył powoli do samochodu. Otworzył drzwi i jeszcze raz jego wzrok przeniósł się w dół ulicy. Przyjdzie dzień, że pozna mnie bliżej i wtedy wszystko się wyjaśni, przyrzekł sobie.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Kathy była spóźniona. Nie powinna była wcale odpowiadać na ten telefon, ale kiedy Ruth poinformowała ją, że dzwoni jej kuzyn, John Macdowell, nie miała sumienia wykręcać się brakiem czasu.

- Zdecydowałem się, Kathy! - krzyczał John do słuchawki swoim tubalnym, ochryplym głosem. - Dość mam utarczek z tym starym, sprzedaję ziemię!

Kathy zamurowało. Farma znajdowała się w rękach jej rodziny od wielu pokoleń, odnosiła też dotąd wrażenie, że dla Johna jest całym życiem.

- Nie podejmuj pochopnych decyzji - zaprotestowała. - Kochasz swoją farmę. Na pewno możesz poradzić sobie bez tego kawałka ziemi, którego Curtis ci odmawia.

- Ten drań chce się mnie stąd pozbyć. Ma zamiar kupić farmę i zaraz ją odsprzedać, głowę daję! - grzmiał John.

- No to nie daj mu tej satysfakcji! - rzekła zdenerwowanym głosem. Nie chciała, by kuzyn tchórzył, choć sama miała serdecznie dosyć zamieszania wokół tej sprawy. – Posłuchaj - zaczęła tym razem spokojniej, by opanować jakoś sytuację.

- Może wpadnę do ciebie później i obgadamy sobie wszystko? Rozumiem, że jest ci samemu trudno...

- Dobrze - zgodził się. - Chętnie cię wysłucham.

I tak, zamiast, jak zamierzała, czym prędzej udać się z wizytą do Harry'ego Lorda, Kathy straciła sporą część przerwy na lunch na telefoniczne pocieszenie kuzyna.

Wciąż to samo, pomyślała ze złością, pakując się przed kimś na ostatnie wolne miejsce na szpitalnym parkingu. Curtisowie są mistrzami świata, jeśli chodzi o wywoływanie awantur w jej rodzinie. Randolph, o czym wiedziała także z dziennika matki, szedł po swoje, nie oglądając się na innych. Teraz kolejne pokolenie daje się jej we znaki. Aż się zatrzęsała na wspomnienie próby z Willem. On po prostu znajduje przyjemność w doprowadzaniu jej do pasji. A ona, ku swojej rozpaczy, traci w takich chwilach rozsądek.

Harry powoli wracał do siebie po wszczepieniu bypassów. Kathy pragnęła zapewnić go, że świetnie daje sobie radę, żeby nie spieszył się z powrotem do pracy. Kiedy jednak spojrzała w samochodowe lusterko, zobaczyła swoje czerwone policzki i rozczochrane włosy, jakby odległość między

przychodnią a szpitalem przemierzyła w szalonym biegu. Nie wyglądała na odpowiedzialną, panującą nad sytuacją kobietę.

Z pomocą grzebienia próbowała doprowadzić się do ładu, obiecując sobie, że wkrótce wybierze się do fryzjera.

Gdy dotarła na oddział kardiologii, z lekkim trzepotem serca zajrzała do pokoju, gdzie umieszczono Harry'ego. Przyplątała mu się jakaś drobna infekcja, co opóźniało powrót do zdrowia. Na widok Kathy Harry ogromnie się ucieszył i serdecznie zaprosił ją do środka. Z ulgą stwierdziła, że wygląda całkiem nieźle.

- Nie bój się. Jeszcze nie umieram.

Całe szczęście, że nie opuszcza go dobry humor, pomyślała i przysiadła na krześle przy łóżku.

- Dzięki Bogu. Rzeczywiście nie jesteś już taki przezroczysty jak poprzednim razem.

- Zawsze się rumienię na widok pięknych kobiet - zapewnił ją z powagą.

- Chyba naprawdę lepiej się czujesz. - Delikatnie pogroziła mu palcem. - A tak poważnie, bardzo cię boli?

Potrząsnął głową.

- Do zniesienia. - Rozpiął górę od piżamy i zaprezentował Kathy długą bliznę na piersi. - Spójrz, jakie śliczne cięcie. Dreszcz mnie przechodzi tylko, kiedy pomyślę o części zamiennej, która podtrzymuje mi mostek. Bolało trochę, jak wyciągali żyły z nogi. Ale zapewniam cię, że za sześć tygodni będę jak nowy. I wiesz co? Bardzo poprawiło mi się krążenie. Nawet dłonie mam cieplejsze.

Zmarszczyła brwi z dezaprobatą. Harry długi czas nie chciał przyznać, że coś mu dolega. Absolutnie nie pozwoli mu teraz zrywać się przedwcześnie na nogi.

- Bądź rozsądny. Obiecałeś Val, że weźmiesz przynajmniej trzy miesiące wolnego. Kto jak kto, ale ty powinieneś wiedzieć, że to konieczne.

- Moja żona jest potworem - skonstatował ponuro. - A ty też nie jesteś lepsza. A propos potworów, jak się ma William Curtis? Czy mój wybór okazał się taki koszmarny, jak się obawiałaś? Jest podobny do wuja?

Lekko się spłoszyła.

- Nie, nie, świetnie się sprawdził. Dobrze pracuje, pacjenci go lubią...

O mały włos nie dodała, że ona polubiła go za bardzo, wbrew wszelkim zapowiedziom i założeniom. Harry Lord nie może się tego nigdy, przenigdy dowiedzieć.

- Widzisz - ciągnął nie zmienionym tonem - czułem się winny, że zatrudniłem go wbrew twojej woli. Trochę spanikowałem na myśl, że zostawiam cię samą, i może na siłę ci go wepchnąłem. Jednak jeśli nie możecie się dogadać, wpakowałem cię w dużo większy kłopot.

- Ależ nie - uspokajała. - Jakoś... znajdujemy wspólny język, po prostu omijamy pewne tematy.

- Czyli nie jest tak źle?

Zawahała się. Z jej punktu widzenia było dość kiepsko, bo ona się w nim zakochała, natomiast jego uczucia pozostawały dla niej zagadką.

- To dobry, wprawny lekarz - podsumowała krótko. Jej lakoniczność rozbawiła Harry'ego.

- Widzę zatem, że nikt za mną nie tęskni. Will spisuje się dzielnie. Ulżyło mi. Spodziewałem się, że jest dla nas idealnym kandydatem, choć, przyznam, nie do końca uwierzyłem w to, że osiedla się tu ze względu na stan zdrowia ojca.

Kathy wyprostowała się i nadstawiła uszu.

- Mówił coś więcej na ten temat?

- Nie. Rozumiem, że jego ojciec jest w nie najlepszej kondycji, ale wspomniał też, że musi mu pomóc rozwiązać pewien problem. Sam się zastanawiałem, czy nie zrobił głupstwa, porzucając Afrykę, jeśli to ma być na krótko. Może w pewnych okolicznościach postępuje zbyt impulsywnie.

Z tym akurat w pełni się zgodziła.

- Ma nieposkromioną energię - powiedziała, z trudem hamując śmiech. - Kiedy wrócisz do pracy, przeżyjesz szok.

Szybko pożałowała tych słów, bo Harry najwyraźniej się przestraszył.

- Mam nadzieję, że nie wprowadza żadnych radykalnych zmian?

- Kazał odnowić parking. Zresztą przeze mnie, bo denerwowało go, że parkując, za każdym razem wpadam na drzewo. Chyba interesuje się też architekturą zieleni, bo mamy teraz kwitnące klomby wzdłuż ścieżki.

Zataiła przed nim, że gabinet zabiegowy został odnowiony po zalaniu, oraz że poddasze wymagało poważnej renowacji. Harry był tradycjonalistą i dokładna informacja o wszystkich przeróbkach mogłaby niebezpiecznie zwiększyć mu ciśnienie. Nowy wygląd przychodni napawał Kathy dumą, ale Harry bardzo się różnił od Willa. Teraz na jego twarzy pojawił się grymas dezaprobaty.

- Oby tylko znał umiar. To nie ogród botaniczny.

- Nie przejmuj się - odparła łagodząco. - Na pewno ci się spodoba.

- Miał fantastyczny życiorys. Wszystko jest w porządku, dopóki się jakoś zgadzacie. Poza tym to całkiem przystojny gość - dorzucił filuternie.

- Nie zauważyłam - odparła z niepotrzebnym pośpiechem. Gdy po chwili szła szpitalnym korytarzem, stwierdziła ze złością, że Will chyba ją prześladowuje. Zjawił się na siłowni i na próbie, i wzbudził w niej uczucia, które zawsze wprawiały ją w poczucie winy.

Właściwie trudno byłoby znaleźć dwu bardziej różniących się od siebie ludzi niż Harry Lord i Will Curtis. Harry, nawet gdy był zdrowy, żył powoli. W porównaniu z nim Will pędził jak ognisty piorun. Zastanawiała się, czy Harry będzie tolerował mnożące się pomysły Willa, między innymi plan zatrudnienia na pół etatu fizjoterapeuty i pedikiurzystki.

Ssanie w żołądku przypomniało jej, że nie zjadła lunchu. Najprościej było zajść do szpitalnego bufetu, chciała jeszcze przez chwilę przemyśleć w samotności problemy kuzyna. Pamiętała dokładnie, co Randolph mówił o Johnie, o jego alkoholizmie i niezdolności do pracy. Chcąc nie chcąc, zaczęło ją męczyć podejrzenie, że była w tym krztyna prawdy. Przez telefon wypowiedzi Johna sprawiały wrażenie kompletnie chaotycznych. Westchnęła.

Z bocznego korytarza wyszło tymczasem dwóch pogrążonych w dyskusji mężczyzn. Jednym z nich był Will. Znowu on! Nawet się nie zdziwiła, mógł przecież odwiedzać kogoś w szpitalu. Tak czy owak, uświadomiła sobie, że nie wygląda olśniewająco. Znoszony lekarski mundurek zbiegł się w zagadkowy sposób. Ukradkiem wygładziła zakiet i ściągnęła ramiona.

Dostrzegł ją w ostatniej chwili. Zatrzymał się lekko zaskoczony i zablokował jej drogę.

- Wciąż się spotykamy - stwierdził z wesołym uśmiechem, po czym rzekł do swego towarzysza: - Kathy jest główną artystką miejscowego teatru. Ja jestem tam tylko pomagierem, ale wczoraj wieczorem miałem szczęście zastępować jej partnera. Nigdy nie przypuszczałem, że tak mi się to spodoba.

Policzki Kathy zalał głęboki róż.

- Przedstawiam ci - ciągnął Will - Kevina Stuarda, który naprawił brzuszysko Randolpha. Zresztą pewnie się znacie. Wpadłem zobaczyć staruszka. Nie jest w najlepszym nastroju; szok pooperacyjny.

Kathy i Kevin wymienili ukłony. Kathy często odsyłała pacjentów do Stuarda, kiedy wymagali interwencji chirurga.

- Jak się czuje Randolph? - spytała z grzeczności.

- Diabelnie trudny z niego pacjent - odrzekł chirurg z rozbawieniem.

- Wyobrażam sobie - przyznała. - Nam też dał w kość.

- Przywieźli go w bardzo złym stanie - wyjaśnił Kevin - ale miał dużo szczęścia. Za parę tygodni dojdzie do siebie, jeśli pozwoli sobie pomóc i nie będzie się przemęczał. Jednak mam co do tego pewne wątpliwości. - Zerknął na zegarek.

- Wybaczcie, spieszę się. Mam randkę z nową kobietą mojego życia. - Klepnął Willa po ramieniu. - Najwyższy czas, żebyś wziął ze mnie przykład. Wkrótce zostaniesz starym kawalerem i nikt cię nie zechce! - podsumował i oddalił się szybkim krokiem.

Kathy spojrzała na Willa pytająco.

- Kim jest ta kobieta?

Omam nie zakrztusił się ze śmiechu.

- Właśnie urodziła mu się córka, ich pierwsza córka. Jest z mamą na położniczym. - Patrzył z niedowierzaniem na oddalającego się Kevina. - Facet ma już dwóch synów, ale nigdy nie widziałem go tak podnieconego. Stuprocentowy tatuś.

- Słyszę zazdrość - rzuciła obojętnie. - A może ironię? Na jego twarzy pojawił się smutny uśmiech.

- Prawdę. Może z odrobiną zazdrości. Związek z drugim człowiekiem ma też swoje dobre strony, takie jak poczucie stabilności, równowaga, wzajemna troska. - Zatrzymał na niej wzrok. - A ty, Kathy? Nikt cię nie usidlił? Nie miałaś ochoty się ustatkować?

Mówił niby poważnym tonem, ale w jego oczach Kathy dostrzegła kpiarski błysk.

- Jesteś pewnie tak zajęta zniechęcaniem swoich adoratorów, że nawet o tym nie pomyślałaś.

Też coś! Nie pamiętała już, kiedy ostatnio zwrócił na nią uwagę mężczyzna, którego sama miała chęć poznać bliżej. Zdarzały się jej niezobowiązujące randki, jednak minione dwa ciężkie lata po śmierci matki poświęciła przede wszystkim Lindy. Brakowało czasu na własne przyjemności. Pewnie dlatego spotkanie z Willem podziałało na nią tak silnie, i z tego też powodu tak kiepsko sobie z tym radziła. Will nie miał jednak prawa nawet się tego domyślać.

- Mój Boże, nie miałam czasu na głupstwa. Wychowanie siostry i praca są bardzo czasochłonne.

Przytaknął i, zmieniając temat, powiedział ciepło:

- Może zjemy lunch w bufecie? Chciałbym pogadać o jednym z pacjentów, to świetna okazja.

Od czasu żenującego dla niej incydentu podczas próby Kathy obawiała się spotkań z Willem. W końcu jednak doszła do wniosku, że przesadza, spodziewając się, że będzie się na nią bez przerwy rzucał z pocałunkami.

Specjalnością szpitalnego bufetu były kanapki: grubaśne pajdy chleba posmarowane maziem bez smaku. Po pierwszym kęsie Will skrzywił się i rzekł przepraszająco:

- Następnym razem zaproszę cię gdzie indziej. - Wypił łyk kawy. - Boże, rozpuszczalny szlam! Jak oni to robią?

Kathy zachichotała i wskazała na plakat, na którym zachwycona kobieta wyciągała rękę z ogromnym ciastkiem, a towarzyszył temu tekst: Bufet szpitala w Bentham - najlepszy w całym hrabstwie!

- Ciekawe, kto to stwierdził - mruknął Will. - Chyba nie ci, którzy się tu żywią.

Nagle odsunął talerz, oparł się na łokciach i nachylił.

- Znasz Gary'ego Laytona? To dzieciak, ma około szesnastu lat.

- Wiem, o kim mówisz - odparła. - Ale nie miałam z nim do czynienia, był pacjentem Harry'ego. To wnuk Annie Forster, tej od ukradzonej torebki. Ja opiekuję się jego matką, Pat Layton, która woli leczyć się u kobiety. Masz z nim jakiś problem?

- Nawet spory. - Will spoważniał. Posłodził kawę i mieszał ją zamyślony. - Bierze heroinę. Bardzo chce z tym skończyć i prosił mnie, żebym zaczął odtruwać go metadonem.

Kathy oniemiała.

- To niemożliwe! Ma takie dobre warunki, przyzwoitą rodzinę. Ojciec odnosi sukcesy w biznesie, matka w pracy społecznej. Ale, jak widać, nikt nie jest bezpieczny. Jak sądzisz, przyznał się rodzicom?

- Na pewno nie. Kiedy go poinformowałam, że będę go musiał zarejestrować jako narkomana, błagał, żeby to nie wyszło na zewnątrz.

Przed oczami Kathy pojawił się obraz roztrzęsionej Pat.

- Jego matka - zaczęła cicho - była u mnie w zeszłym tygodniu. Wyglądała okropnie. Wysłałam ją na badanie krwi, ale czułam, że nie mówi mi wszystkiego. Kto wie, może coś podejrzewa? A ty co zdecydowałeś?

- Jeszcze nie wiem - odparł. - Boję się, że on mnie robi w konia. Przysięga na wszystko, że mnie nie zawiedzie, że nigdy dotąd nie był na odwyku. Ale

jakoś mnie to nie przekonuje. Skąd on ma pieniądze? Albo czy nie zechce sprzedać metadonu, żeby mieć na heroinę?

- Musisz to wziąć pod uwagę - zgodziła się.

Will milczał przez chwilę, po czym rzekł:

- On coś przede mną ukrywa. Prosił mnie grzecznie i ze wszystkich sił, ale był przy tym zdenerwowany. Wydawało mi się, że się boi.

- Może akurat coś sobie wstrzyknął?

- Niewykluczone - potwierdził. - Próbowałem dowiedzieć się, skąd wzięła się jego decyzja. Spojrzał na mnie tak jakoś nieprzytomnie i powiedział, że chce wrócić na prostą drogę. Tłumaczyłem mu, że będzie musiał podpisać zobowiązanie i koniecznie przychodzić do mnie raz w tygodniu na badanie moczu.

- Zaakceptował to?

- Od razu - odparł, wzruszając ramionami. - Ale kiedy mu powiedziałem, żeby wrócił następnego dnia, bo muszę to przemyśleć, stał się nieuprzejmy. Krzyczał, że nie będzie czekał. To był mój pierwszy kontakt z nim, dlatego zwracam się do ciebie.

- Właściwie znam tylko jego rodzinę. W jakiej on jest szkole?

- Był w miejscowym ogólniaku, ale ponoć rzucił go i szuka pracy.

- To musiał chodzić razem z Lindy - stwierdziła. - Są w podobnym wieku. Podpytam ją, czy wie coś o narkotykach w szkole. - Spojrzała na Willa z namysłem. - Wiesz, jest w tym jakaś ironia. Rodzina Laytonów wydaje się naprawdę idealna. Co się tam stało?

- Ludzie sięgają po narkotyki z wielu powodów - rzekł z westchnieniem. - Czasem jest to po prostu presja grupy. Czasami jakieś załamanie losu czyni ich słabszymi i bardziej podatnymi na takie pokusy. Tak czy owak, aż mną trzęsie, kiedy trafia na takiego szczeniaka. - Jego twarz steżała w gniewie. - Nie ręczę za siebie, gdybym znalazł drania, który to sprzedaje.

Zapadła cisza. Po dłuższej chwili Will odezwał się nieco spokojniej:

- Dziękuję, że mnie wysłuchałaś.

Na talerzu Kathy leżała nie zjedzona kanapka, z filiżanki ubył ledwo łyk teraz już zimnej kawy.

- Zdaje się, że oboje zasmakowaliśmy w tutejszej kuchni. Nie przychodzi ci do głowy jakieś atrakcyjniejsze miejsce?

- I to niejedno! - roześmiała się z ulgą. - Mam swój pub, The Joly Miller. To niedaleko twojej barki, nad kanałem.

- Świetnie! - zawołał. - Może byśmy tam zajrzeli? Jeśli masz wolny weekend.

- Nie powiedziałam tego, żebyś mnie zaprosił - zaczęła się wycofywać. - Zresztą, to nic specjalnego... Poza tym, mam zajęte wieczory.

Ledwo dawała sobie z nim radę w pracy. Miałyby jeszcze spotykać się z nim towarzysko? To niedorzeczne.

On tymczasem nawet nie mrugnął. Z jego oczu czytała bez pudła, że nie da się go tak łatwo spławić.

- Trudno. A kiedy masz pierwszy wolny wieczór? Nienawidzę jeść sam, a w zasadzie nikogo tu nie znam. Ktoś musi mnie wprowadzić. Chciałbym też bliżej poznać moją współpracowniczkę.

- Sądziłam, że wuj opowiedział ci wszystko o Bentham - odparła szorstko.

- Nie mam ochoty na kolację z wujem - zaproponował.

- Chcę zjeść z kimś... kto ma coś nowego do powiedzenia, i na kogo patrzę z większą przyjemnością.

No tak, zniecierpliwiła się Kathy. Oto rozmawia z mężczyzną, który przy stole potrzebuje dekoracji, a ponieważ ma tylko ją pod ręką, postanowił się nią zadowolić. Kontynuowanie podobnych dyskusji i spotkań może się dla niej skończyć tylko jednym - złamanym sercem.

- Zobaczymy - zaczęła nieprzekonująco. - Mogę być potrzebna Lindy.

- Dzisiaj wystarczy mi to wyjaśnienie - powiedział z tym swoim ładnym uśmiechem, a wstając, dorzucił jeszcze: - Nie wyciągaj na mój temat pochopnych wniosków. Zdarzają się Curtisowie o ludzkich cechach. To na razie.

Kathy zaczęły palić policzki. Czyżby rzeczywiście nie była obiektywna? Nie uszło jej uwagi, z jakim zainteresowaniem oglądały się za nim kobiety, kiedy wychodził z bufetu. Natomiast on sprawiał wrażenie, że jest mu to zupełnie obojętne.

Popołudnie upłynęło jej na wizytach domowych. Po zakończeniu ostatniej poinformowała telefonicznie Ruth, że wybiera się do kuzyna. Chciała sprawdzić, w jakim jest stanie i co spowodowało, że podjął tę bezsensowną decyzję o sprzedaży farmy.

Byli sobie niegdyś z Johnem bardzo bliscy. Ich ojcowie byli braćmi, a po śmierci jej ojca przed siedemnastu laty John był prawą ręką jej matki. O wiele starszy od Kathy, nie miał łatwego życia. Pozostał kawalerem, postrzegano go jako samotnika i dziwaka.

Dojazd do starej farmy był w zasadzie niekończącą się koleiną. Jeden rzut oka wystarczył, by stwierdzić, że gospodarstwo jest zapuszczone. Dach stodoły przedstawiał nędzny widok, jej brama wypadła z zawiasów. John nie prowadził hodowli, uprawiał głównie zboża, i właśnie majstrował coś przy zardzewiałym traktorze zaparkowanym przed domem.

Na widok Kathy wytarł ręce w usmarowaną olejem szmatę. Jeszcze kilka lat wcześniej uchodził za przystojnego, był rostry, wyglądał zdrowo. Upływ czasu i kłopoty dodały mu więcej lat, niż przewidywał kalendarz. Ruszył ku niej - niechlujny, jakby skurczony, z kilkudniowym zarostem na twarzy.

- Witaj, John. Twój telefon bardzo mnie zaniepokoił.

- Taa - mruknął, kiwając powoli głową. - Ten szczywany Curtis mówi, że za nic nie da mi tych gruntów, przyległych do mojego pola. Chciał mi wcisnąć parę arów po drugiej stronie wzgórza. A co ja niby miałbym z nimi zrobić?

- Więc jednak coś ci zaproponował? - zdziwiła się. Widać nawet stary Randolph czasami spuszcza z tonu. - I co ty na to?

Twarz Johna spochmurniała.

- Piekielnie mi nie pasuje - chrząknął.

- Ale to lepsze niż nic - starała się go przekonać. - Byłoby nierozsądne z twojej strony, gdybyś sprzedał gospodarstwo tylko dlatego, że część pola masz trochę dalej.

Spojrzał na nią wojowniczo.

- Po czyjej ty jesteś stronie, co? - warknął. - Podobno bratanek Curtisa pracuje u ciebie w przychodni, dlatego teraz z nim trzymasz?

- Nie bądź śmieszny. - Zaczęła ją złościć ta rozmowa, tym bardziej że czuła od Johna alkohol i widziała, jak trzęsą mu się ręce, kiedy zapala papierosa. - Jadłeś już lunch? - Próbowała mimo wszystko okazać mu trochę uczucia. - Wejdzmy do środka, wszystko mi opowiesz.

W mieszkaniu Johna panował potworny bałagan. W rogu pokoju zalegały sterty brudnych ubrań, zlew pękał od zapuszczonych naczyń z resztkami jedzenia. W stosunkowo krótkim czasie to miejsce zmieniło się z przyzwoitego i niezłe utrzymanego domu w pospolity chlew. Kathy nie mogła pojąć tej przemiany. Jaki kryzys mógł ją spowodować?

Nalała wodę do czajnika i usiedli przy stole.

- Dobrze się czujesz, John? - zwróciła się z troską do kuzyna. - Zmizerniałeś.

Przysiadł zgarbiony na krześle, wsparł czoło na dłoni i powoli zaczął mówić, patrząc na nią z rozżaleniem.

- Przepraszam, że tak napyskowałem. Byłem chyba niesprawiedliwy. Trochę mi wstyd... - Zatoczył ręką koło, wskazując na kuchnię. - Żeby być szczerym, powiem ci, że jakoś przestałem kochać tę farmę. No i kiedy Curtis powiedział mi o tej ziemi kawał drogi stąd, dostałem dobry powód, żeby się tego w ogóle pozbyć.

- Ale dlaczego?

- Gdybym jeszcze miał rodzinę - ciągnął zmęczonym głosem - kogoś, komu bym to przekazał... Tak jak jest, nie mam po co tego trzymać. Życie mi gdzieś ucieka. Lepiej bym sobie pojechał, zobaczył trochę świata. No a kto zająłby się wtedy farmą?

- Rozumiem wreszcie, chcesz iść na emeryturę. W końcu dlaczego nie?

- Zdaje mi się, że zawiodłem rodziców - powiedział z rosnącym smutkiem.

- I wszystkich, którzy trzymali tę farmę przy życiu. Kiedy Curtis odmówił mi ziemi, ulżyło mi.

Wiem, że to głupie, ale pomyślałem, że to dzięki niemu będę mógł wreszcie odpocząć.

- A potem jednak coś ci zaoferował i poczułeś, że może nie powinienes odchodzić?

- Chyba tak - potwierdził. - Szkoda mi sprzedać farmę, ale pojechałbym za te pieniądze dookoła świata.

- No to zrób tak! - Kathy nalewała herbatę. - Do diabła z przodkami! Pomyśl o sobie, o tym, że dla ciebie to będzie lepsze. No i - sięgnęła po w połowie pustą butelkę whisky i dodała bardzo poważnie - nie zapijesz się na śmierć.

Ta uwaga zawstydziła Johna.

- Wiem, wiem - rzucił krótko. - Pomagam sobie tylko jakoś przetrwać.

Małymi łykami popijał herbatę, milcząc.

- Co myślisz? - spytał w końcu. - Wystawić farmę na sprzedaż? Nie będzie głupio?

- Oczywiście, że nie - uśmiechnęła się zachęcająco. - To twoje życie i masz obowiązek wykorzystać je najlepiej, jak potrafisz. Dostyc się tutaj naharowałeś. - Wyrzała przez okno. - Wiesz, jednak stary Curtis mnie zaskoczył. Co mu się stało?

- Może obudziły się w nim resztki poczucia przyzwoitości. Zawsze mi się zdawało, że wkurza go, że nasza farma leży pośrodku jego terenów. Ale to chyba nawet nie to. Potrzebuje ziemi pod ten park rozrywki.

- I to mnie właśnie zastanawia - powiedziała, kręcąc głową. - Facet kocha ziemię i decyduje się ją sprzedać. Nigdy bym nie pomyślała, że zrobi coś takiego.

Podeszła do Johna i serdecznie go objęła.

- Naprawdę nie musisz czuć się winny, że chcesz odpocząć, tylko obiecaj, że nie podejmiesz żadnych kroków w pośpiechu. Mógłbyś przecież wydzierżawić farmę na pewien czas, nie tracąc w ten sposób szansy powrotu, jeśli przyjdzie ci na to ochota, choćby i za jakiś czas.

Johnowi w mgnieniu oka ubyło dziesięć lat.

- Wiedziałem, że coś wymyślisz - stwierdził uszczęśliwiony. - To też jest wyjście.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Słońce wpadało do sypialni przefiltrowane przez zasuniętą do połowy okna zasłonkę. Kathy przeciągała się leniwie, obserwując wirujące w promieniu światła pyłki kurzu. Nareszcie wolna sobota, w gabinecie zabiegowym na pacjentów czeka Will, a druga przychodnia w Bentham pełni dyżur przez cały weekend.

Odśloniła okno i głęboko wciągnęła powietrze. Cały dzień wolny od służbowych obowiązków! Postanowiła popracować trochę w ogrodzie, a potem zabrać Raftera na długi spacer polnymi ścieżkami. Jeszcze trochę, a ziemia uprawna i łąki dochodzące do granicy miasta zostaną ogrodzone. Kiedy tylko Randolph Curtis dokona transakcji, znikną wspaniałe żywopłoty ozdobione kwiatami głogu, słońce nie będzie się już odbijało w wodzie kanału. Ale co tam, otrząsnęła się z ponurych wizji. Tego dnia zamierzała się cieszyć pięknem krajobrazu, odpoczywać i nie zawracać sobie głowy żadnym z Curtisów, a zwłaszcza Willem.

Lindy wczesnym rankiem pognęła do stajni pojeździć na jednym z koni Randolpha. Kathy wolałaby, by siostra wybrała sobie inną stadninę, ale Lindy czuła się tam znakomicie, a ponadto Randolph sprawiedliwie ją wynagradzał.

Włożyła szorty i bawełnianą, pogniecioną koszulkę, zrobiła kawę i nie spiesząc się, wyszła do ogrodu na tyłach domu. Przysiadła, by przemyśleć, czym zająć się w pierwszej kolejności: posiać coś czy może posadzić w skrzynkach ozdobne pelargonie.

Przychodnia oddaliła się od niej na odległość bliską zapomnieniu. Kiedy sprawa Gary'ego Laytona dobijała się o jej uwagę, odrzuciła ją zdecydowanie i zapadła się w starym hamaku zawieszonym między dwiema koślawymi jabłonkami. Rozmarzona, wpatrywała się w poruszane przez wiatr gałęzie. Dzień był dość ciepły, ptaki się rozśpiewały, słońce przezierало przez liście, malując ziemię w świetlne plamy. Wszystko, co złe, było gdzie indziej.

Załadowanie do bagażnika ciężkiego kosza nie sprawiło Willowi żadnego problemu, choć zdziwiło go, że aż tyle waży butelka wina, kurczak, trochę wędzonego łososia i owoców. Uściskał serdecznie gospodynię Randolpha.

- Jesteś wspaniała. Wystarczy tego, żeby wykarmić całą armię! Serdeczne dzięki. Chociaż brakuje mi jeszcze placka i pikli.

- Pogoda jakby wymarzona na piknik - zaśmiała się Bet-ty. - Tylko wszystko ma być zjedzone. W trójkę powinniście to sprzątnąć bez kłopotu. Lindy czeka na ciebie przy barce, o ile pamiętam. Bawcie się dobrze, dziewczętom bardzo się to należy!

Will zapalił silnik i ruszył, machając na pożegnanie. Wcale nie był pewny, czy będzie ich troje. Obawiał się, jak zareaguje Kathy, która nie wiedziała dotąd o pikniku i wcale nie musiała przyjąć zaproszenia. Nawet entuzjazm Lindy nie zapewniał Willowi powodzenia, by nie wspomnieć o jego sile przekonywania.

Pomysł pikniku wpadł mu do głowy niespodzianie, po dyżurze, kiedy udał się do domu wuja sprawdzić, czy wszystko tam w porządku. Kathy odmówiła mu już wieczornego wyjścia, a zatem zdobędzie ją przez zaskoczenie, zabierając obie siostry na wycieczkę.

Od zakończenia studiów Will spotykał się z wieloma kobietami, Kathy wydała mu się jednak wyjątkowa. Wiedział to od pierwszej chwili, gdy ujrzał ją na spacerze z psem. To był ktoś od dawna wypatrywany i wyczekiwany, uświadamiał sobie to z całą jasnością. I do tego połączyła ich wspólna praca, niczym wskazówka od losu. Zdawał też sobie sprawę, że czas pracuje przeciw niemu. Albo zdobędzie Kathy, zanim Randolph sprzeda ziemię, albo wcale. Bo ona później nie spojrzy na żadnego z Curtisów, pogorszą się ich stosunki w przychodni, a o czymś więcej nie będzie już mowy.

Gdy patrzył na pełną uroku okolicę, rozumiał punkt widzenia Kathy w sprawie ziemi, ale dla jego rodziny było to jedyne dobre wyjście. Zaciskał dłonie na kierownicy. Obiecał sobie wcześniej, że nie zwiąże się z nikim, póki jego ojciec nie zostanie wybawiony z kłopotów. No i oczywiście, jak ostami głupiec, zakochał się w kobiecie, która go nie chce.

Na delikatnie bujającym się hamaku, rozgrzanym przez słońce, sztuką byłoby nie zdrzemnąć się choć na chwilę. Kathy zamknęła oczy i przyśnił się jej piękny sen. Była na próbie, reżyser domagał się, by jeszcze raz zagrali z Willem scenę pocałunku. A ponieważ sprawiało im to przyjemność, Will nalegał na kolejne powtórki...

Jakież było jej zdumienie, gdy przebudzona przez natrętną muchę, zobaczyła znane jej błękitne oczy niecałe pół metra nad sobą. Krzyknęła.

- Co tu robisz?

Hamak zachwiał się i Kathy spadła na trawę. Gramoliła się z ziemi jak niepyszna. Will podciągnął ją w górę, zaśmiewając się głośno.

- Miałaś bardzo zadowoloną minę. Co ci się śniło? Przestraszyłem cię? - Z aprobatą zatrzymał wzrok na jej długich, szczupłych nogach w króciutkich spodenkach.

- A jak myślisz?! - Zaróżowiła się, nie tyle z powodu upadku, ile w związku ze snem i nagłą materializacją jego bohatera. - O co chodzi? Stało się coś w przychodni?

- Ależ skąd - uspokajał. - Po prostu za dziesięć minut mamy się spotkać z Lindy koło barki. Dała się zaprosić na nasz piknik...

- Lindy? A co ona ma z tym wspólnego? - Kathy, wciąż lekko zamroczona, otwierała szeroko oczy, niczego nie pojmując.

- Pomyślałem, że jej obecność cię zachęci. Poza tym, chciałbym podziękować jej za uratowanie wuja.

Nie musiała się już niczego domyślać, kolejny pokrętny plan Curtisa został jej przedstawiony z całą beczelną szczerością.

- A czy ja obiecywałam ci jakieś wspólne wyjście? W odpowiedzi położył jej dłoń na ramieniu.

- Zapomniałaś? Mówiłem, że chcę zabrać cię na jedzenie. Dzisiaj jest idealny dzień. Mamy wolne popołudnie, świeci słońce, no i psy muszą się wybiegać.

- Nie rozumiem... A co z jedzeniem?

- Wszystko przygotowałem, potrawy dla bogów i boski nektar w postaci zimnego frascati.

Patrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Ale ja nie mogę. Mam jeszcze robotę w ogrodzie, i prasowanie...

Tym razem mocno ścisnął jej dłoń.

- Zbieraj się, Kathy, jutro może padać. I nie chcesz chyba zawieść siostry?

Jego uścisk był nieugięty. Nagle zapragnęła, by wziął ją znów w ramiona i pocałował. Nawet jeśli dla niego to tylko zabawa bez żadnych konsekwencji.

- Nie psuj tego - rzekł z powagą. - W bagażniku leży jedzenie na kilka osób. Mam to wyrzucić? Zresztą sama przyrzekłaś mi w tym okropnym bufecie, że zjemy razem coś przyzwoitego.

- Nie obiecywałam! Powiedziałam, że być może! - broniła się, biegnąc za Willem w stronę samochodu i wpadła na niego, gdy gwałtownie przystanął.

- Dla mnie liczy się intencja, nieważne jakimi słowami jest wypowiedziana. - W jego głosie pobrzmiwała nutka ironii. - Nie każmy Lindy czekać. Jeśli znam się choć trochę na nastolatkach, twoja siostra umiera z głodu.

Otworzył drzwi samochodu, a Kathy posłusznie wśliznęła się do środka, wyrażając swój spacyfikowany sprzeciw cichym pomrukiem.

- Wyglądam jak strach na wróble. Powinnam się uczesać. A te spodenki...

- Są fantastyczne! - dokończył, nie mogąc oderwać od niej wzroku.

Rafter, który przyglądał się temu wszystkiemu z oddali, na pierwszy gwizd Willa odzyskał utraconą już nadzieję i przez uchyloną bramę wystrzelił naprzód z nieprzytomnym skowytem. Wylądował na tylnym siedzeniu sportowego auta, hamując pazurami. Samochód ruszył z piskiem opon i nie było już dla Kathy drogi odwrotu.

Za stół służyła im skrzynka. Will wyniósł na pokład krzesła. Rozpalone słońcem deski grzały im stopy, woda pobłyskiwała. Spokój zakłócały tylko przepływające z rzadka barki i nieliczna kaczka rodzina, przemieszczająca się nieustannie w tę i z powrotem.

W cieniu niedużej kabiny rozłożyły się psy, głośno dysząc i wlepiając znacząco ślepia w talerze z łososiem, kurczakiem, a nawet w salaterkę z truskawkami z bitą śmietaną. Każda próba zbliżenia się do przysmaków kończyła się niepysznym odwrotem po krzyku Willa, który ćwiczył psią dyscyplinę.

- Mmm, jak cudownie - mruzczała z zadowolenia Kathy, chłodząc się łykiem zimnego wina musującego i rozglądając się leniwie po rozpościerających się przed nią polach z jednej strony kanału, a na drugim brzegu podziwiając rozrośnięty żywopłot i rosnące przed nim kolorowe polne kwiaty.

Otaczał ich ledwo uchwytny, słodki zapach bzu. Kathy z rozkoszą wyciągnęła przed siebie nogi. Słomkowy kapelusz z dużym rondem, znaleziony w kuchence, osłaniał jej twarz. Szczęśliwa spojrzała na Lindy, która moczyła stopy w rzece. Nie czułaby się chyba dobrze sam na sam z Willem. Obecność siostry pozwoliła jej się zrelaksować, niemal udało jej się wyrzucić z pamięci, że siedzi obok zabójczo przystojnego wroga.

Lindy budziła w niej czułość. Jej ognistorude włosy były splecione w cienkie, owinięte wokół głowy warkoczyki. Kochana mała siostrzyczka, bez której byłoby beznadziejnie nudno...

- Hej, chyba nie wypiąs za dużo? - drażniła się z nią Kathy. - Nie zapominaj, że masz pod opieką konia.

Zwierzę stało uwiązane na brzegu i z apetytem skubało świeżą trawę. Lindy pokazała jej język.

- Maruda! - powiedziała. - Zefir tak dobrze zna drogę do domu, że trafi sam. - Przeciągnęła się i oświadczyła: - Chyba zaraz pękne. Jesteś świetnym kucharzem, Will.

Will, w baseballówce naciągniętej na oczy, leżał na starym, sponiewieranym leżaku.

- To drobiazg dla takiego faceta jak ja. Poprosiłem Betty, żeby nam przygotowała przekąskę. Całe szczęście, że nie prosiłem o obiad!

- Szkoda, że muszę już wracać - rozżaliła się Lindy.

- Trzeba oporządzić Zefirka i wypuścić inne konie. Wielkie dzięki, masz super barkę. Wszystko tu jest super: i kuchenka, i koja, i te malunki dookoła. Mogłabym tu nawet zamieszkać.

Will uśmiechnął się.

- Mieściłabyś się tu lepiej niż ja. Co dzień rano walę głową w sufit i chodzę potem jak pijany. Muszę szybko postarać się o zmianę lokalu, zanim potłukę sobie czaszkę w drobny mak.

- Zamień się z naszym kuzynem - zaproponowała Lindy.

- Popływałyby sobie kanałami, a tobie na pewno spodobałaby się jego farma. Prawda, Kathy?

Kathy spojrzała na siostrę z naganą. Jak coś podobnie absurdalnego mogło jej przyjść do głowy? Ale Will natychmiast podchwycił temat.

- Mówisz o tym kuzynie, którego waszym zdaniem Randolph pozbawił ziemi?

Lindy potwierdziła gorliwie.

- Aha. Chociaż on zmienił zdanie i teraz uważa, że dostał szansę na spełnienie marzeń. Na przykład, żeby podróżować. - Odwróciła się do Kathy pełna entuzjazmu. - Fajnie wymyśliłam, nie? Will mógłby wynająć dom Johna i po kłopocie. Ziemię można by wydzierżawić komuś innemu.

Kathy tylko westchnęła. Curtisowie wciąż zwiększają swój udział w życiu jej rodziny.

- Być może - rzekła ostrożnie.

Jej opór nie był dla Willa niespodzianką.

- W każdym razie nie szkodzi zapytać - zauważył. - Dobrze myślisz, Lindy. Moglibyśmy obaj na tym skorzystać. Ta barka nie wytrzyma obecności dwóch roślących facetów, a zapowiada się, że ojciec wkrótce do mnie dołączy. Właściciel barki też nie powinien mieć zastrzeżeń. Zależy mu tylko, żeby nie stała pusta.

Tak rzadko wspominał o ojcu, sprawiał też wrażenie, że pytania na jego temat nie są mile widziane. Twarz miał zasepioną, co zadawało kłam jego żartobliwym słowom.

- Myślisz, że twój ojciec zechciałby zamieszkać na starej zrujnowanej farmie? - odważyła się zapytać.

- Po ostatnich przejściach byłoby tam jak w raju - stwierdził tonem ucinającym temat.

- No to leć! - Lindy zwinnie przeskoczyła z pokładu barki na brzeg. - Dzięki, Will. Wpadnij kiedyś do nas, Kathy upichci coś fajnego. Cześć!

Odwiązała Zefira i dosiadła go. W głowie Kathy zadzwonił alarm. Oto za moment znajdzie się z Willem sama. Wlała w siebie wystarczająco dużo wina, by pójść na poważny kompromis, gdyby Will miał ochotę posunąć ich flirt o krok dalej.

- Przecież nie musisz się tak spieszyć - zawołała błagalnie do siostry. - Koń na pewno wybaczy ci jeszcze filiżankę herbaty.

Jej głos gonił Lindy, która mknęła już na Zefirze.

Gdy zapadła cisza, Kathy leżała sztywno, podczas gdy Will obserwował jej profil. Ledwo oddychała. Nie mogła się zdecydować, czy dobrze jej, czy źle z owym sam na sam. Brak słów wzmagał poczucie fizycznej bliskości. Trzeba czym prędzej rozładować to dręczące napięcie, powiedzieć cokolwiek.

- Tęsknisz za Afryką? - zagadała zdesperowana. Usiadł z łokciami na kolanach, iskierkami rozbawienia w oczach, jakby doskonale wiedział, co się dzieje.

- Nie brak mi jej tak bardzo, jak się spodziewałem. Nie sądziłem, że tak mi się tu spodoba. Czasem tęsknię za ludźmi, których tam poznałem, i z którymi świetnie mi się pracowało. Zresztą na pewno pojedę zobaczyć, jakie zrobili postępy. Tam jest bardzo pięknie, ale chyba w głębi serca jestem Anglikiem, a dom jest tam, gdzie jest nasze serce.

Wstał, dolał Kathy wina.

- A ty? Jesteś tu szczęśliwa? Czujesz, że należysz do Bentham?

Obracała szklanekę w dłoni, przyglądając się wydostającym się na powierzchnię pęcherzykom powietrza. Zaczynało jej się lekko kręcić w głowie.

- Tak, choć to miasto nie będzie już tym samym, kiedy twój cholerny wuj dopnie swego.

Will skamieniał. Wydało jej się, że temperatura powietrza podskoczyła nagle o kilka stopni.

- Na Boga, Kathy, zmień płytę!

Był wzburzony, a jej udzielił się jego nastrój.

- Nie potrafię o tym zapomnieć - wyrzuciła z siebie, siadając gwałtownie. - Rozejrzyj się, bo za chwilę ten piękny widok zniknie na zawsze, z powodu żądy pieniądza. Nigdy o tym nie zapomnę! - dodała z pasją. - Moja rodzina uprawiała tę ziemię od pokoleń, na długo przedtem, zanim zjechał tu pierwszy Curtis. I wcale nie oczekuję od ciebie zrozumienia, bo ty masz to w nosie!

Chciała odejść, ale chwycił ją za rękę i zatrzymał.

- Nic nie wiesz - odparł niemal opryskliwie. - Wuj nie pozbywa się tej ziemi dla zysku, ale nie mogę ci wyjawić jego motywacji. I bardzo mnie ta sprawa obchodzi, bo jestem w nią osobiście zaangażowany! Musimy zdobyć pieniądze, cokolwiek by to miało znaczyć!

- A więc jesteście w zмовie! Powinam się była domyślić. Jaki stary, taki młody. Liczy się tylko forsa!

Rozpalona, patrzyła na niego hardo, a on mierzył ją rozjuszonym wzrokiem.

- Nie wiesz, o czym mówisz - syknął cicho.

Ich uwagę odwróciła nagle grupka roześmianych biegaczy w sportowych strojach. Will spuścił głowę i zacisnął pięści. Wyglądał jak ktoś, kto dźwiga na barkach brzemień całego świata. Może rzeczywiście za sprzedażą ziemi kryją się jakieś tajemnicze powody nie do ominięcia, pomyślała Kathy, przygryzając wargę. Nie potrafiła w inny sposób wytłumaczyć sobie jego burzliwych reakcji na każde przypomnienie istotnej dla niej kwestii.

Miała wyrzuty sumienia. W końcu urządził im miłe popołudnie, ona zaś nie uszanowała jego starań i zepsuła wszystko jednym zdaniem.

- Przepraszam - wyszeptała ze skrucą. - Chyba przesadziłam, jak zawsze, gdy mowa o Randolphie...

- Zauważyłem. - Will był spięty, ale odwrócił się ku niej.

- Nie chodzi wyłącznie o te plany - ciągnęła. - Mam inne powody, żeby nie darzyć go sympatią. Nie wiesz, co zrobił mojej matce...

Spojrzał na nią zdumiony.

- A co do diabła mógł zrobić?

- Unieszczęśliwił ją.

- W jaki sposób? - Zmarszczył nieprzyjaźnie brwi. Natychmiast pożałowała swego zwierzenia, do którego podkusiło ją chyba wino, bo dla czego miałyby zdradzać obcemu mężczyźnie rodzinne sekrety?

- Nie mówmy o tym - szepnęła. - I tak by cię to nie zainteresowało.

- Nie rozumiem. - Jego głos brzmiał już spokojniej. - Twoja matka, o ile się nie mylę, zmarła jakiś czas temu, kiedy nie było jeszcze mowy o sprzedaży ziemi. Jak zatem wuj ją skrzywdził? Chciałbym wiedzieć.

Bawiła się kosmykiem włosów za uchem. Nikt oprócz niej nie czytał słów matki, zresztą i ona nie była pewna, co naprawdę znaczą. Wiedziała jedynie, że Randolph był z tym bezpośrednio związany. Słowa matki zapisały się w jej pamięci na zawsze. „Nie poddam się, choćby nie wiem jak mnie męczył...”

Gładziła jedwabistą sierść Raftera.

- Tak, to było dawno, i lepiej o tym zapomnieć. Żrenice Willa zwięzły się.

- A ty i tak nigdy nie wybaczysz? - rzekł oschle. - Chcę przynajmniej wiedzieć, o co chodzi.

- Naprawdę nie mogę o tym mówić, zresztą nie znam szczegółów - przyznała szczerze. - Szesnaście lat temu, mniej więcej wtedy, gdy zmarł mój ojciec, twój wuj na zawsze odmienił życie mojej matki. Od tamtej pory nie opuszczał jej smutek.

- Każdy kij ma dwa końce - zauważył Will. - Może jesteś dla wuja niesprawiedliwa?

Potrząsnęła głową stanowczo.

- Matka była najmilszą, najbardziej delikatną istotą na świecie. Nie umiałyby nikogo skrzywdzić - stwierdziła, pragnąc zakończyć już temat. - Zresztą, to moja historia.

- Prawda - zgodził się. - Ale obchodzi mnie, bo ciebie dotyczy i martwi. Musiało ci być ciężko po śmierci matki. - Patrzył na nią uważnie. - Myśl o jutrze, Kathy, pogrzeb przeszłość. Myśl o sobie, o swojej karierze, o teatrze, dzieciach...

Poczuła dreszcze. Gdyby wiedział, jak mocno pragnęła, żeby stał się częścią jej przyszłości. Cała ta rozmowa pokazała tylko, jak bardzo się różnią. Niewykluczone, że mogliby zostać przyjaciółmi, ale bliższy związek był nie do pomyślenia. Wierzyła też coraz głębiej, że Will ma jakąś tajemnicę, którą nie chce się z nią podzielić.

Z melancholijnym wyrazem twarzy odgarnął włosy spadające jej na policzki i delikatnie przesunął palcem po jej rozchylnych ustach i wzdłuż brody.

- Rozchmurz się - szepnął. - Może to dobrze, że nie da się zajrzeć w przyszłość.

Do oczu Kathy cisnęły się łzy. Will, chociaż Curtis, czasami bywał człowiekiem. Podniosła się czym prędzej, by nie zdążył dostrzec, jak bardzo ją wzruszył, i dla niepoznaki zajęła się zbieraniem talerzy.

- Robi się późno. Czas na mnie, mam jeszcze robotę w ogrodzie. Jeśli się nim nie zajmę, wkrótce mnie pokona. Zarasta w strasznym tempie, a niestety, zanoszą się na deszcze, po których chwasty pną się w górę wprost bez opamiętania...

Zdała sobie sprawę, że wyrzuca z siebie potok słów, byle tylko odsunąć moment intymności, wobec której była bezradna. Zaniósła brudne naczynia do pokładowej kuchenki, która przypominała raczej domek dla lalek - wszystko było tam zminiaturyzowane. Nic dziwnego, że ktoś postury Willa właściwie się tam nie mieścił. Nagle wystraszyła się, że ta mała przestrzeń może zostać wykorzystana przeciw niej.

Will stał w drzwiach. Było jasne, że znał powód jej szybkiej ucieczki.

- Zostaw, później pozmywam - oświadczył. - Dzisiaj masz odpoczywać.

Kuchenka zdawała się kurczyć w oczach. Kathy czuła się tak, jak po paru kilometrach na bieżni w siłowni. Brakowało jej tchu, intuicja podpowiadała jej, że coś stanie się lada moment. Wtedy w ciszy Will zrobił krok i uniósł jej twarz ku sobie.

- Wiesz, że jesteś piękna, panno Macdowell? - odezwał się z lekką chrypką.

Spuściła oczy, jej długie rzęsy rzucały cień na kości policzkowe. Wszystko tak wspaniale się składało, właściwy mężczyzna we właściwym miejscu i w odpowiednim czasie...

Wtedy poczuła na ustach muśnięcie jakby motyli skrzydeł. Jej serce zatłukło się w nagłym ataku szaleństwa.

- Piękne zakończenie pięknego dnia - wyszeptał Will. Potem znów ją całował, coraz mocniej, palcem wodząc po szyi, od podbródka do zagłębienia między wzniesieniem piersi. Poddała się, przecież o tym właśnie marzyła od chwili spotkania. Objęła go za szyję i przylgnęła do niego całym ciałem. Zanim się zorientowała, Will, nie odrywając od niej ust, przeniósł ją na koję i położył się przy niej. Jej opór malał z każdą chwilą. Aż usłyszała

jakiś wewnętrzny głos, który stanowczo dopraszał się uwagi. Zatrzymaj się, zanim będzie za późno! Podczas gdy podniecenie Willa rosło, ona traciła nadzieję. Było wiele powodów, dla których powinna natychmiast wstać i wyjść, pierwszy i podstawowy to słowa matki, które dźwięczały jak groźne ostrzeżenie. Wszyscy Curtisowie są tacy sami, chcą posiąść twoją duszę!

Matka nigdy nie zaakceptowałaby jej związku z Curtisem.

Kathy zebrała siły i energicznie odepchnęła Willa, odzywając się ostro i bezkompromisowo:

- Nie! Zachowujemy się jak dzieci! Dźwignął się i zmarszczył czoło zaskoczony.

- O co ci chodzi? Jakie dzieci? Jesteśmy parą dorosłych, która chce sobie sprawić przyjemność.

Zdecydowanym ruchem poprawiała bluzkę.

- Może tobie wystarczy przyjemność. Ja muszę czuć dużo więcej, żeby pójść z kimś do łóżka. Zresztą, zbyt wiele nas dzieli...

- Czy ty wreszcie kiedyś zrozumiesz, że ja i Randolph to dwie różne osoby? - rzucił zapalczywie. - Nie jesteśmy syjamskimi braćmi! Ja jestem osobnym człowiekiem, mam własne zdanie. Twoje ślepe uprzedzenie rządzi całym twoim życiem!

Oczy Kathy iskrzyły gniewem.

- Nikomu nie pozwoliłabym nim rządzić. Ale kiedy jesteśmy tak blisko... czuję, że ulegam wrogowi. A co najważniejsze, łączy nas praca, i na tym powinniśmy poprzestać.

Chwycił ją i przyciągnął, kiedy odchodziła.

- Wiesz, na czym polega twój problem? Nie pozwalasz sobie na szczęście. Tylko nie mów, że przed chwilą nie było ci dobrze. I tak nie uwierzę. Masz jakąś idiotyczną obsesję!

Poczuła ucisk w gardle i nie mogła wydobyć słowa. Will miał rację, nie umiała zignorować przeszłości.

- Ja... mam nadzieję, że będziemy kolegami. - Jej głos słabł z każdą sekundą. - Przepraszam, jeśli odebrałaś niewłaściwy sygnał. Nie to miałam na myśli, zjawiając się tutaj... Rozumiesz? To mój błąd.

- Że przekroczyłem pewną granicę? - zakończył za nią drwiąco. - Nie, Kathy, to moja wina. Źle cię zrozumiałem. Zdawało mi się, że oboje tego chcemy.

Była kompletnie zagubiona. Przecież niczego bardziej nie pragnęła. Gdyby tylko potrafiła mu zaufać...

Opuściła barkę i ścieżką wzdłuż kanału ruszyła do domu. Była rozgorączkowana i zażenowana. W ślad za nią biegł truchtem Rafter.

Kiedy zniknęła za zakrętem, Will zaklął siarczyście. Przeklinał swoją niecierpliwość i natarczywość, które wzięły nad nim górę. Sądził, że zbliżenie odmieni ich relacje, ale z przykrością musiał przyznać, że się łudził.

Patrzył na okoliczne pola nieobecny wzrokiem. Był głęboko przekonany o wzajemności Kathy. Pamiętał dotyk jej ust i gorączkę jej ciała. Zacisnął dłoń na metalowym ogrodzeniu, wyobrażając sobie, jak inaczej mógłby spędzać ten czas, gdyby nie wuj i ojciec. Wściekły, rzucił patyk, za którym pognał Magnus. Nie podda się jeszcze, choćby nie wiem co, sprawi, że Kathy go pokocha, niezależnie od tego, jak bardzo nienawidzi jego wuja.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

- A więc twoim zdaniem potrzebujemy nowocześniejszych urządzeń?

Harry patrzył pytająco na dwójkę młodych lekarzy. Siedzieli w gabinecie Willa, Harry zwołał spotkanie w przerwie na lunch. Miał jeszcze trzy miesiące zwolnienia, nie chciał jednak tracić kontroli nad przychodnią. Kathy od dawna nie widziała go w tak dobrej formie.

Rzuciła okiem na Willa. Miała nadzieję, że uda się ukryć przed Harrym oziębienie ich stosunków. Przez miniony tydzień Will prawie się do niej nie odzywał, zachowywali uprzejmy dystans. Czasem zdawało się jej, że usłyszy coś ważnego, ale właśnie wtedy odwracał się ze wzruszeniem ramion i chował nos w papiery. Z żalem stwierdzała, że sama była sobie winna. Wciąż wracały do niej wspomnienia popołudnia na barce i nie mogła odżalować, że w pierwszym odruchu tak szybko uległa Willowi. Miotaly nią sprzeczne uczucia, które zdawały się niszczyć każdą chwilę. Podniosła wzrok i, zawstydzona, czym prędzej powróciła do wymagającej rozstrzygnięcia kwestii.

- Chodzi o to, że pozostałe ośrodki w Bentham mają o wiele więcej do zaoferowania pacjentom - tłumaczyła spokojnie, by Harry nie odniósł wrażenia, że wykorzystują jego nieobecność do jakichś rewolucyjnych zmian. - Absolutnie nie uważam, że jesteśmy w tyle, jednak nasi pacjenci mogą się z tym nie zgadzać.

Harry rozejrzał się po gabinecie, nie kryjąc zdumienia.

- Tak krótko mnie tutaj nie było, a zastałem tyle nowości. Zadziwiające, ile może sprawić świeża farba i parę kwiatków przed wejściem. Jeśli teraz jeszcze przeznaczą wolne pomieszczenie dla fizjoterapeuty i pedikiurzystki, nie będę miał dokąd wrócić.

Will pochylił się i odgarnął z czoła włosy znanym już Kathy gestem.

- Dla wszystkich starczy miejsca. Proponuję tylko, żebyśmy wykorzystali robotników, którzy naprawiają poddasze i dobudowali z boku dwa pomieszczenia. Nie powinniśmy mieć żadnych problemów z uzyskaniem pozwolenia. Ogromnie przydałby się nowy pokój dla pielęgniarek, które pracują teraz w strasznej dziurze.

Po westchnieniu Harry'ego Kathy poznała, jak bardzo poczuł się odsunięty od bieżących spraw. Trudno mu było pogodzić się z nowymi pomysłami, był już niemłody i myślał konserwatywnie. Sama z zazdrością oglądała lepiej wyposażone przychodnie, które zapewniały pacjentom szeroką gamę usług.

Chodziło teraz tylko o to, by Will nie przesadził w swoim entuzjazmie. Harry'ego należało przekonywać powoli i stopniowo.

- Spędził pan już z nami parę tygodni - mówił Harry. - I jak się panu u nas podoba? Przedłuży pan umowę po okresie próbnym?

- Mam nadzieję zostać - odparł Will, kierując na sekundę spojrzenie w stronę Kathy. - Ale to nie zależy tylko ode mnie, państwo muszą wyrazić na to zgodę.

W tym momencie Kathy zdała sobie sprawę, że jeśli nic się między nimi nie zmieni, Will odejdzie. Nawet nie mogła mieć do niego pretensji. Na pewno trudno pracowało mu się z osobą jego zdaniem neurotyczną i obsesyjną. W Afryce, gdzie był lubiany i ceniony, z pewnością czuł się o wiele szczęśliwszy.

Harry objął oboje młodych przenikliwym spojrzeniem.

- Nikt się na pana nie skarżył, a pacjenci tylko chwalili.

To prawda. Kathy musiała przyznać, że Will jest świetnym, wzbudzającym zaufanie lekarzem. Ceniono go za profesjonalizm i życzliwość, za jego sprawą przychodnia stawała się bardziej przyjaznym ludziom miejscem.

W niektóre poniedziałki trzeba było zajmować się w zabiegowym drobnymi wypadkami, które miały miejsce w czasie weekendu. Tak właśnie zaczął się dla Kathy kolejny tydzień pracy. Siedmioletni Billy Corbett gapił się na nią przez binokle w drucianej oprawie z bardzo poważnym wyrazem twarzy. Serce mu waliło, zwłaszcza gdy Kathy zwracała się do jego niechlujnej i zapalczywej matki, która rzucała na syna groźne spojrzenia.

Kathy doskonale знаła panią Corbett, należącą do osób bezlitośnie wysysających z człowieka energię. Zazwyczaj jakoś dawała sobie radę z różnaitością charakterów, jakie przedstawiali jej pacjenci, ale tego dnia, wycieńczona emocjonalnie ostatnim tygodniem, nie znajdowała siły na pojedynek z panią Corbett.

- A zatem Billy wsadził sobie ten koralik do nosa? - odezwała się z cichym westchnieniem.

Pani Corbett pokiwała głową.

- Tak mi już zalazł za skórę, pani doktor, że słów brak. Ciagle coś się mu dzieje, a ja naprawdę nie mogę pilnować go bez przerwy. Zresztą, sama pani powie, kto by się spodziewał, że wpakuje sobie coś do nosa? - Stęknęła głośno i znacząco. - Stale z nim kłopoty.

Kathy stwierdziła, że zwariuje, jeśli jeszcze przez chwilę będzie zmuszona słuchać piskliwego głosu pani Corbett, która huśtała na kolanach tłustawego malucha. Trzecie dziecko trzymało się matczynej spódnicy.

Nachyliła się nad przerażonym chłopcem, uśmiechnęła się do niego, dodając mu odwagi i przerywając narzekania jego matki.

- Jesteś dzielny, Billy - powiedziała ciepło. - Pozwolisz, że zajrzę ci do nosa tym specjalnym światełkiem i zobaczę, gdzie jest koralik? Na pewno bardzo ci tam przeszkadza. Kiedy to się stało, pani Corbett?

Kobieta nie miała pojęcia.

- Kto wie, może tam siedzi od rana. Ten smarkacz całymi godzinami tkwi w swoim pokoju i Bóg wie, co tam robi.

Wcale mu się nie dziwię, pomyślała Kathy, która też zrobiłaby wszystko, byle być z dala od takiej matki. Pani Corbett nieubłaganie ciągnęła swą opowieść:

- Potem zlął na dół z niewyraźną miną i mówi, że ma koral w nosie, i jeszcze spodziewa się, że mu to wyjmę jakimś cudem. Więcej z nim kłopotu niż z całą resztą. Dzieci! Też coś! Powiem pani, że nie byłabym taka głupia, gdybym mogła zacząć życie od nowa. Same kłopoty i ani słowa wdzięczności!

Kathy popatrzyła na maluchy. Były ciche, spokojne i bardzo ładne, ale wciąż czujne. Niektórzy nie potrafią docenić swojego szczęścia. Któregoś dnia i ona zechce mieć dziecko... Przez myśl przemknął jej Will, ale czym prędzej pozbyła się jego obrazu, karcąc się za wciąż powtarzany błąd.

Zajrzała do nosa Billy'ego i z ulgą stwierdziła, że koralik nie przesunął się zbyt głęboko, a zatem ominie chłopca poważniejszy zabieg. Przy odrobinie szczęścia uda się wyciągnąć przeszkodę bez znieczulenia.

- Billy, mam teraz do ciebie prośbę. Chciałabym, żebyś zatkał sobie jedną dziurkę, z drugą starał się dmuchać jak najmocniej.

Chłopiec posłusznie wykonał polecenie, ale bez skutku. Jego matka wzdychała coraz bardziej niecierpliwie.

- Dmuchaaj - straszyla - albo oberwiesz tak, że na długo zapamiętasz...

Billy z trudem powstrzymał łzy, a Kathy wybuch irytacji. Dziecko powinno być spokojne i zrelaksowane, by mogli osiągnąć cel. Pogłaskała chłopca po czuprynie, zdecydowana wezwać na pomoc Willa.

- Nie martw się, spróbujemy to zrobić inaczej. Poproszę doktora Curtisa, żeby nam pomógł, a on już sobie z tym poradzi. - Odwróciła się do matki. - Może zechciałaby pani poczekać z maluchami w poczekalni, bardzo proszę.

Ale niełatwo było złamać upór pani Corbett.

- Matka powinna być z dzieckiem.

Zależy, jaka matka, pomyślała Kathy. Pani Corbett była mistrzynią w stwarzaniu problemów. Kathy widziała już w wyobraźni, jak kobieta dostaje ataku hysterii, obserwując zabieg.

- Billy jest dużym chłopcem - odparła więc stanowczo. - My się zajmiemy koralikiem, a pani zaczeka. Jestem pewna, że potem Billy będzie pani potrzebował bardziej niż w tej chwili.

Nacisnęła interkom i poprosiła Ruth o sprowadzenie Willa. Pani Corbett tymczasem obstawała przy swoim.

- Nigdzie się nie ruszę - oznajmiła agresywnym tonem.

- Znam swoje prawa, a dziecko ma prawo mieć przy sobie matkę.

Kathy policzyła w myśli do dziesięciu, inaczej kazałaby tej kobiecie wynieść się do diabła. Billy nie wytrzymał jednak pojedynku matki z lekarką i uderzył w tak histeryczny szloch, że pozostała dwójka maluchów dołączyła do niego jak na sygnał.

- No i proszę! - rzekła pani Corbett ze złośliwą satysfakcją. - Przestraszyła go pani, że zostanie sam.

Dzieci zawodziły coraz głośniejsze, rosło zaciętrzewienie matki, która uspokajała je krzykiem. Sytuacja całkowicie wymknęła się spod kontroli.

Wtem otworzyły się drzwi i zagrzmiał niski głos, pokonując hałasy rodziny Corbett. Kathy odetchnęła, przynajmniej w takich chwilach mogła liczyć na Willa.

- Co się tu dzieje? Gdzie jest pacjent?

Will zdominował pokój swą posturą, jego autorytatywny ton nakazywał uwagę. Od razu przywołał wszystkich do porządku. Nawet pani Corbett straciła rezon, a dzieci zamilkły jak na rozkaz i wytrzeszczały na niego oczy.

Kathy lekko pchnęła Billy'ego do przodu.

- Ten młody człowiek ma w nosie koralik, w lewym nozdrzu, szczęśliwie niezbyt głęboko. Prosiłam panią Corbett, żeby wyszła, a my zajmiemy się chłopcem.

- Zostanę, jeśli zechcę - odezwała się matka płaczliwie.

- Mam takie prawo.

Will spojrzał na Kathy wzrokiem, jakby chciał jej powiedzieć: „No to mamy pecha”, i głośno rzekł:

- Droga pani, nie wątpię, że chce pani dla syna jak najlepiej. Proszę mi wierzyć, że nie zrobimy mu tu krzywdy, ale proszę też zrozumieć, że

obecność pozostałej dwójki bardzo nas rozprasza. Billy, dasz sobie radę bez mamy i rodzeństwa, prawda? - mrugnął do chłopca porozumiewawczo.

Pani Corbett już miała zaprotestować, ale w końcu, widząc nieustępliwość Willa, zebrała się i godnie wymaszerowała z pokoju, ciągnąc za sobą marudzącą dwójkę szkrabów. Okazało się, że Will znalazł i na nią sposób - należało z nią postąpić uprzejmie, ale stanowczo. W takich chwilach Kathy dziękowała losowi za nowego współpracownika i z lękiem myślała o tym, jak poradzi sobie bez niego, gdyby zechciał odejść.

Tymczasem Will zbliżył się do chłopca, który siedział cicho, bardzo przestraszony. Objął go w pasie przyjacielskim gestem.

- Billy, lubisz samochody? - spytał. Billy potakiwał w milczeniu.

- Jak tylko wyciągnę koralik, pokażę ci naprawdę wyjątkowy wóz. Głowę dam, że ci się spodoba, ma całe mnóstwo gadżetów. No to teraz ja ci zajrzę do nosa, a ty spróbuj sobie już wyobrazić ten wózek. Wpuszczę ci kilka kropli płynu, żebyś nic nie czuł, ale postaraj się nie wiercić, dobra? Bardzo mi tym pomożesz. - Podniósł wzrok na Kathy. - Ksylokaina zmniejszy opuchliznę i ściągnie błonę śluzową.

Nie zwlekając, prysnął chłopcu do nosa środkiem znieczulającym. Kathy trzymała Billy'ego za głowę. Will robił swoje, odwracając uwagę dziecka barwnymi opowieściami.

Czuła nieodpartą chęć, by dotknąć miękkich, ciemnych włosów nachylonego mężczyzny. Tak niedawno przytulała się do nich, obejmując go za szyję. Billy zaczął się wiercić. Drobne kleszcze, przeznaczone właśnie do nosa, sprawiały jednak trochę bólu.

- Spokojnie, jesteś bardzo dzielny. Jesteś najodważniejszym pacjentem dzisiejszego ranka, prawda, pani doktor? Jeszcze sekundka i złapiemy tego paskudnika. No, wychodzi! Hurra!

W kleszczach tkwił niewielki błękitny koralik, sprawca całego zamieszania. Billy patrzył oszołomiony i dotykał ostrożnie nosa.

- Zuch chłopak! - Will uśmiechnął się. - Ale musisz mi coś obiecać. Nigdy więcej nie włożysz sobie koralika do nosa. To jest zły pomysł. Następnym razem mogłoby być dużo gorzej.

Sięgnął do kieszeni i wyciągnął stamtąd mały metalowy samochodzik, nakręcił go i położył na podłodze. Zabawka szurnęła po dywanie, po każdym zderzeniu z kolejnym meblem gwałtownie zmieniała kierunek, dając znak światłami i cicho pogwizdując. Billy obserwował to z otwartą buzią, potem na jego twarzy rozbił się szeroki uśmiech. Will wręczył mu zabawkę.

- To dla ciebie, Billy, za męstwo.

Chłopiec patrzył na dwójkę lekarzy przez okrągłe, lekko wykrzywione okulary.

- Dla mnie? - upewniał się, zapomniawszy kompletnie o przykrym zabiegu. - Bardzo dziękuję!

Jego ochryply głos poruszał czułe struny w sercu Kathy. Mimo takiej matki potrafił się zachować. Małych pacjentów kochało się niezależnie od tego, jak dokuczliwych mieli rodziców. Odprowadziła Billy'ego do matki, która pociągnęła go za rękę bez słowa. Już w drzwiach chłopiec odwrócił się i pomachał. Kathy odpowiedziała mu uśmiechem i poszła do Ruth.

- Mogę prosić o wyniki pani Layton? Powinny już być, a ona ma dziś wizytę. - Starła się mówić wolno i spokojnie, bo poniedziałek nie należał do ulubionych dni Ruth.

- Oczywiście, pani doktor, zaraz będą.

Głos Ruth brzmiał zaskakująco radośnie. Kathy przyglądała się bacznie swojej recepcjonistce, z której głowy zniknął odwieczny ulizany kok. Włosy miała teraz gładko zaczesane za uszy i przycięte, a brązowy sweter i czarną spódnicę zastąpiła kwiecistą sukienką.

- Ładny dziś dzień - odezwała się Ruth. - Ma pani ochotę na filiżankę herbaty?

Kathy robiła, co mogła, by nie krzyknąć ze zdumienia.

- Tak, chętnie, jeśli ci to nie sprawi kłopotu...

- Jaki kłopot, przyniosę za moment z wynikami. Niezgrabna, drobna postać pomknęła do kuchni. Kathy

przysięgłaby, że Ruth uśmiechnęła się półgębkiem. Kto wie, może wygrała jakieś większe pieniądze w totka? Kręcąc głową, Kathy udała się do gabinetu, gdzie zastała jeszcze Willa, który stał oparty o biurko i przeglądał jakieś fachowe pismo, których cała masa sływała do nich każdego tygodnia.

- Nasz bohater wrócił do swej oddanej karmicielki? - Podniósł głowę, gdy wchodziła.

- Która, oczywiście, słowem nie podziękowała. Ma chłopak pecha. Wiesz, naprawdę świetnie sobie z nim poradziłeś, prawie nie marudził. No i te samochodowe manewry!

Will był zadowolony.

- Kupiłem ich masę w Londynie - oznajmił. - Obawiam się tylko, że teraz mogą do mnie przychodzić całkiem zdrowe dzieciaki.

- W każdym razie młody Corbett z pewnością nie doświadczył w życiu wiele radości. Może ta matka nawet go kocha, tyle że okazuje to w dość szczególny sposób.

Ich wzrok spotkał się, doskonale się rozumieli i zgadzali w tej sprawie. Nagle wydało się Kathy, że dzięki Billy'emu napięcie między nią i Willem opadło. Na szczęście, bo żadne spotkanie poza przychodnią nie dawało gwarancji dobrego zakończenia. Tymczasem pacjenci byli nieświadomymi mediatorami. Paradoksalnie, poczuła nawet przebłysk wdzięczności wobec nieznośnej skądinąd pani Corbett.

Rozległo się stukanie do drzwi i Ruth wkroczyła z dwiema filiżankami herbaty na tacy.

- Proszę, są też wyniki. Niestety, obydwójce państwo mają dziś komplet pacjentów.

Wymknęła się bezszelestnie, wzbudzając tym razem osłupienie Willa.

- Czy to sen, czy przed chwilą była tu Ruth? - pytał niepewnie. - Jakś inaczej wygląda. Co jej się stało?

Kathy roześmiała się na widok jego ogłupiałej miny.

- Zmieniła się nie do poznania. - I dodała bez zastanowienia: - Może się zakochała?

- A, tak - zgodził się Will. - Wiosna tak działa na ludzi. A skoro już o tym mowa... - Spojrzał na nią pytająco. - Nie byliśmy sami od spotkania na barce. Nie sądzisz, że mamy jeszcze parę wspólnych tematów do przegadania?

Od razu się zdenerwowała. Ale w końcu należy może wyjaśnić wszystko do reszty, żeby pozbyć się niepotrzebnych zgrzytów. Zdobyła się zatem na odpowiedź:

- Piknik był bardzo udany, naprawdę jesteś świetnym gospodarzem. I obie z Lindy wspaniale spędziłyśmy czas. Przykro mi tylko, że tak się to skończyło. Gdybym mogła przewidzieć...

- Ze będę chciał cię uwieść? - Miał minę psotnego chłopca. - Nie, to moja wina. To niewybaczalne, chyba za dużo wypilem.

- Oboje za dużo wypiliśmy - dodała.

Poczuła znajomy skurcz serca, tym razem przyprawiony pociechą, że przynajmniej jakoś dawali sobie z tym radę w godzinach pracy.

- Puśćmy to w niepamięć i zacznijmy od nowa - zaproponował. - Zresztą i tak mam do ciebie prośbę, jeśli pozwolisz. - Uśmiechnął się, widząc lęk w jej oczach. - To nie ma nic wspólnego z piknikami, barkami ani niegrzecznymi lekarzami. Pamiętasz, Lindy wspomniała o farmie waszego kuzyna. Jestem

nią poważnie zainteresowany. Albo ta barka maleje, albo ja wciąż rosnę. Muszę się przenieść. Byłabyś tak miła i przedstawiła mnie kuzynowi? Pogadalibyśmy, nawet w tym tygodniu, któregoś dnia po pracy. Bo w przyszłym miesiącu będę miał o wiele mniej czasu.

Kathy wiedziała już, że po godzinach powinni się z Willem widywać jak najrzadziej. Z drugiej strony zastanowiło ją, czy uwaga o braku czasu w najbliższych tygodniach nie świadczy przypadkiem o tym, że on nie życzy już sobie żadnych prywatnych kontaktów.

- Pewnie ojciec niedługo do ciebie dołączy?

Patrząc na niego, po raz kolejny uświadomiła sobie, że jest w jego życiu niedostępny jej sekret.

- Mam nadzieję. Tak czy owak, przeprowadzka jest konieczna, zanim zrobię sobie jakąś krzywdę.

- Dobrze - zgodziła się. - Może John rzeczywiście na to pójdzie? - Znaczącym ruchem przesunęła papiery na biurku. - Chcesz jeszcze o czymś porozmawiać?

- Tak - odrzekł wyjątkowo poważnym tonem. - Będziesz się widziała z matką Gary'ego Laytona?

- Właśnie dzisiaj. - Wskazała palcem. - Mam jej wyniki. Czemu pytasz?

- Mogłaby nam pomóc, gdyby przyznała, że zna problem syna albo powiedziała cokolwiek na ten temat, co choć trochę naświetliłoby sytuację. Ja też dzisiaj się z nim spotykam. Chłopak jest na odwyku, mam nadzieję, że trzyma reżim. I że się dzisiaj pojawi.

Na twarzy Pat Layton malowało się ogromne zmęczenie. Kathy zastanawiała się, czy siedząca przed nią kobieta ma jakiegokolwiek pojęcie, co się dzieje z jej synem. Chłopak był pełnoletni, Kathy nie mogła zatem poinformować matki wprost, ale świadomość jej kompletnej ignorancji bardzo jej doskwierała. Pochyliła głowę, by spojrzeć na kartkę z wynikami. Nic dziwnego, że Pat cierpi na chroniczne zmęczenie, skoro ma hemoglobinę dużo poniżej normy. Powodów takiego stanu rzeczy mogło być przynajmniej kilka.

- Cieszę się, że pani przyszła. Każdą najmniejszą obawę należy wyjaśnić. Pani osłabienie jest spowodowane anemią. Musimy się teraz dowiedzieć, dlaczego brakuje pani żelaza. Wyślę panią na gastroskopię, bo być może przyczyna tkwi w stanie zapalnym przełyku podrażnionego przez stres. Prosiłabym też o zrobienie endoskopii, żeby sprawdzić układ trawienny.

Przerażenie Pat rosło z każdym zdaniem lekarki.

- Proszę się nie bać - pocieszała ją Kathy. - To tylko brzmi tak groźnie. Przed obu badaniami dostanie pani coś na uspokojenie. A my dzięki nim sprawdzimy, czy nie ma tam na przykład jakiegoś wrzodu.

Pacjentkę przytłaczały kolejne informacje.

- Boję się, ale może lepiej wiedzieć, co się dzieje. Zawahała się. Wyglądało na to, że chce coś powiedzieć, a jednak to przemilczała, po czym jej twarz skurczyła się w bólu. Prędko zakryła ją dłońmi.

- Coś nie tak, pani Layton? - Kathy pospieszyła z pomocą. - Naprawdę, to są prawie bezbolesne badania. Nawet jeśli to wrzód, poradzimy sobie, mamy teraz świetne leki. Szybko wróci pani do zdrowia...

Pat wydała z siebie stłumiony szloch. Kathy wyłowiła tylko słowo „przepraszam” i „muszę to komuś powiedzieć”. Wstała i objęła Pat ramieniem.

- Chciałaby mi pani o czymś opowiedzieć? - spytała. Pacjentka głośno wytarła nos i uśmiechnęła się przez łzy.

- To śmieszne - mówiła, krztusząc się łzami i powietrzem. - Ale nie wychodzi mi to z głowy od dnia, kiedy ukradli mamie torebkę.

- Co takiego?

Pat zaśmiała się mało radośnie.

- Jako urzędnik siedzę czasami w sądzie i pojąć nie mogę, jak ludzie niszczą sobie życie. A teraz zaczęłam rozumieć ich problemy. Człowiek zawsze myśli, że jemu się to nie przytrafi. - Skuliła bezradnie ramiona. - Jestem winna zatajenia informacji - przyznała głuchym tonem.

Kathy nie przerywała jej. Spodziewała się, że za chwilę usłyszy o narkotykach.

- Widzi pani - kontynuowała kobieta - chyba znam przynajmniej jedną osobę związaną z napadem na moją matkę, ale nie potrafię powiedzieć tego policji.

- Czemu, na Boga? - zawołała skonfundowana Kathy. Kobieta skurczyła się jeszcze bardziej i wyszeptała:

- Bo... wydaje mi się, że to mój syn pilnował wtedy drzwi. Że jest członkiem tej bandy!

Kathy zaniemówiła. Teraz wiedziała już, skąd wzięła się przerażona mina Pat, kiedy przyprowadziła matkę do przychodni. Musiała być naprawdę zdruzgotana. A napad miał niewątpliwie związek z brakiem pieniędzy na narkotyki. Kathy wróciła za biurko i usiadła.

- Rozmawiała pani o tym z synem? Pat potrząsnęła głową.

- Nie umiałam. Jest ostatnio taki agresywny, zupełnie jakby nie on.

- Co mogło go tak odmienić?

- Jakiś rok temu mąż porzucił mnie dla dużo młodszej kobiety - zaczęła z namysłem. - To nawet nie była wielka niespodzianka, od dawna się między nami nie układało. Gary zmienił się po odejściu ojca, tak myślę. Uwielbiał go i pewnie sądził, że ojciec i jego zostawił.

Co było prawdą, stwierdziła w duchu Kathy. Patrzyła na pacjentkę z sympatią i współczuciem. Kłopoty zdrowotne Pat miały prawdopodobnie emocjonalne źródło. Jej życie było od pewnego czasu ciągłą terapią szokową. Mimo to rozmowy z synem nie wolno jej odkładać.

- Musi pani powiedzieć Gary'emu, że pani wie. Bo może jemu dokucza ciężar winy, tak jak pani świadomość jego czynu. Zresztą mógł nie mieć pojęcia, że chodzi o jego babkę. W każdym razie do pani należy skłonienie syna, żeby zgłosił się na policję.

Pat Layton tkwiła zatopiona w smutku.

- Ma pani rację - przyznała. - Zataiłam to, bo nie chciałam przyznać nawet przed sobą, że mój syn jest zdolny do takiego czynu. Ale jakoś muszę sobie z tym poradzić. - Spojrzała na Kathy z wdzięcznością. - Dziękuję, że mnie pani wysłuchała, i za radę. Już mi lepiej.

Wstała, a za nią Kathy, i obie ruszyły do drzwi. Kathy przyjaźnie ścisnęła dłoń pacjentki.

- Proszę dać mi znać, co się dzieje. Wkrótce wyślę panią na te badania, i proszę brać żelazo w tabletkach. Niech się pani zapisze na wizytę za tydzień.

Zycie nigdy nie przestaje zaskakiwać, pomyślała Kathy po wyjściu Pat. Swoją drogą to właśnie bogactwo ludzkich losów przyciągnęło ją do zawodu lekarza. Ogromnie współczuła Pat, bo wszystko zdawało się wymykać jej z rąk. Na dodatek, ponieważ była osobą publiczną, każdy zakręt w jej życiorysie skupiał uwagę. A czekał ją jeszcze jeden wielki wstrząs, także związany z synem, jeśli zdecyduje się on powierzyć matce swoją tragiczną tajemnicę.

Kathy połączyła się przez interkom z gabinetem Willa.

- Doktorze Curtis, proszę wpaść na słówko, kiedy będzie pan wolny.

- No więc tak wygląda sytuacja z kradzieżą - zakończyła Kathy swą relację. - A o narkotykach Pat nawyraźniej nie ma pojęcia.

- W każdym razie wiemy, dlaczego kradł. - Will pokiwał głową. - Nie sądzę, żeby zaplanował napad na własną babkę. Za to kiedy dowiedział się,

że to ona była ofiarą ataku, wyrzuty sumienia kazały mu porzucić nałóg. Taka jest moja wersja.

- Pogmatwane to wszystko - westchnęła Kathy. - Ale chyba masz rację. A Pat chce przekonać Gary'ego, żeby złożył zeznanie na policji.

- Przyszedł dziś do mnie. Badanie moczu nie wykazało obecności narkotyków, a więc od tygodnia nie brał. Trzymajmy za niego kciuki.

Popołudnie wlokło się niemiłosiernie. Kiedy wreszcie można było iść do domu, Kathy odetchnęła i wesoło pożegnała Ruth, która siedziała ze słuchawką telefonu przy uchu.

Will stał przy swoim samochodzie na parkingu.

- Moglibyśmy od razu pojechać do twojego kuzyna? - spytał. - Potem trudno mi będzie znaleźć czas.

Kathy marzyła wyłącznie o gorącej kąpieli i spokojnym wieczorze. Nie miała najmniejszej ochoty jechać, wreszcie jednak zgodziła się, by mieć to z głowy. John nie odzywał się od czasu jej ostatniej bytności na farmie, a zatem w końcu nawet ucieszyła ją możliwość zobaczenia, co się u niego dzieje. Wizyta Willa mogła też pomóc mu podjąć decyzję, jak spędzić najbliższe lata.

John prezentował się dużo lepiej, zgolił wreszcie z brody niechlujną szczecinę. Kiedy zajechali, naprawiał kamienny mur okalający gospodarstwo. Widok Kathy ogromnie go ucieszył.

- Myślałeś o naszej rozmowie? - spytała na powitanie. John, który wyglądał tego dnia na całkiem szczęśliwego człowieka, zsunął kapelusz z czoła na tył głowy.

- Często - przyznał. - Bardzo mi się twój pomysł podoba. Mógłbym zacząć nowe życie. Nie wyobrażam sobie teraz nic lepszego niż rok czy dwa z dala od tego miejsca. No i postanowiłem jutro wybrać się do agencji nieruchomości.

- To chyba nie będzie konieczne - oświadczyła radośnie. - Przedstawiam ci doktora Williama Curtisa, który pracuje z nami od niedawna. Chce coś wynająć.

John zmrużył oczy.

- Bratanek Randolpha? - burknął. - To może powinienem być wdzięczny staremu draniowi, bo gdyby mi tak nie bruździł, los nie dałby mi nowej szansy.

Mężczyźni wymienili w miarę przyjazny uścisk dłoni.

- Kiedy agent oszacuje wartość domu, możemy podpisać umowę - zasugerował Will. - A może zechce pan zamienić dom na barkę i opłynąć Wyspy Brytyjskie?

- O nie, nie. - John uśmiechał się na myśl o swoich planach. - Chcę pojechać dalej. Ameryka, Australia, Afryka, kto wie? W Bentham mi za ciasno. Świat jest moim wyzwaniem. Ale chodźmy, pokażę panu farmę. Trochę to zaniedbane, ale pan mi wygląda na kogoś, kto lubi doprowadzać wszystko do porządku.

- I co myślisz? - spytała Kathy, kiedy wracali na parking przed przychodnią, gdzie czekał jej samochód.

- Fantastycznie! Dom jest pięknie położony, wokół mnóstwo przestrzeni. Ojcu też na pewno przypadnie do gustu. Będzie miał dużo miejsca do odpoczynku. Dziękuję, Kathy. - Spojrzał na nią kątem oka. - Od dłuższego czasu chcę z tobą o czymś ważnym porozmawiać, tylko jakoś wciąż nie ma okazji.

Bo nie rozmawiamy, pomyślała, przypominając sobie spędzone ostatnio w milczeniu przerwy na lunch.

- To dość złożona sprawa. Odkryłem coś, co teraz nie daje mi spokoju, a o czym powinnaś wiedzieć. Ale to wymaga więcej czasu.

- No to mów. - Czekwała w napięciu na jego słowa. - Dlaczego nie załatwić tego od razu? Nie znoszę sekretów, i w ogóle po co zaczynasz, jeśli nie chcesz mi potem powiedzieć?!

- Bo to nie takie łatwe - odparł z westchnieniem. - Umówimy się kiedyś, nie mogę parkować w tym miejscu.

- Chyba przesadzasz. Ale proszę bardzo.

Wjechał na parking i zatrzymał się przy jej samochodzie. Przychodnia była już zamknięta, Will z satysfakcją przyglądał się budynkowi.

- Zaczyna nabierać klasy, klomby z kwiatami jakoś rozweseliły ten gmach. Przydałaby się jeszcze jakaś pnąca roślina na ścianie. - Spojrzał w boczne okno. - Dziwne. W moim gabinecie pali się światło. Pójdę sprawdzić, przecież tam jest automatyczny wyłącznik.

Kiedy otwierał drzwi samochodu, położyła mu dłoń na ramieniu.

- Tylko bądź ostrożny. To może być włamywacz.

- No to go złapię. Zostań tu i obserwuj.

Bezgłośnie zbliżył się do drzwi wejściowych i cicho przekręcił klucz. Kathy nie posłuchała go, ruszyła w ślad za nim. Po chwili ciszy rozległ się jego krzyk.

- Ty mały potworze! Wszystkich oszukałeś! Zapłacisz mi za to!

Coś zważyło się na podłogę. Kathy pognęła do środka. W gabinecie leżał Will, tuż przy nim leżała przewrócona wysoka szafa biblioteczna. Skamieniały ze strachu, stał nad nimi Gary Layton, przyciskając do piersi mały pakunek.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Przez chwilę wszyscy trwali nieruchomo, jak na fotografii. Kathy patrzyła na leżącego twarzą do ziemi mężczyznę. Zaskoczona i wściekła równocześnie, nie wiedziała, czy to Gary zaatakował Willa, czy spadła na niego szafa. Wszystko to rozegrało się w mgnieniu oka.

Pokonując rosnącą panikę i starając się zachować dystans, Kathy przycupnęła obok Willa, zbadała mu puls i przyłożyła ucho do jego piersi, by posłuchać serca. Otworzył oczy, na jego twarzy od razu pojawił się uśmiech.

- Tylko natychmiastowy całus przywróci mnie do życia - zamruczał pod nosem.

Odetchnęła z ulgą, przełknęła łzy i krzyknęła:

- Ale mnie przestraszyłeś! Nie ruszaj się!

- I po co tyle szumu? - próbował naśladować wuja. - Przeżyję, po prostu upadłem.

Usiadł, krzywiąc się z bólu. Czuł piekącą opuchliznę nad brwiami, gdzie uderzył go róg biblioteczki.

- Cholera! - jęknął. - Słyszałem, że ludzie widzą czasem gwiazdy, ale nie wiedziałem dotąd, jakie to śmieszne uczucie. Szczęście, że drewno walnęło o drewno.

W tym momencie Kathy przypomniała sobie, skąd się tam wzięli, i z wyrzutem spojrzała na Gary'ego, którego sparaliżował szok. Gapił się na Willa, twarz miał przezroczystą ze strachu. Nie ulegało wątpliwości, że włamał się po narkotyki. Jak on śmiał, myślała, tak bezczelnie wykorzystać zaufanie lekarza? Przed oczami miała jeszcze matkę chłopca, Pat, którą czekała kolejna tragedia.

Gary bez trudu odczytał jej myśli. Miał tylko jeden ratunek - ucieczkę, ale gdy poderwał się w stronę wyjścia, Kathy runęła za nim z krzykiem, przewróciła go i przycisnęła do podłogi. Zaskoczyła go, choć była wysoka i wyglądała na silną. Leżał teraz bezbronny, ujarzmiony, obok Willa. Kiedy spróbował się unieść, usłyszał:

- O nie, chłopcze! Nigdzie się stąd nie ruszysz! - Trzymała go za kark jak w imadle, furia dodawała jej siły. - A cóż ty sobie wyobrażasz, ty beznadziejny smarkaty głupku? Obiecuję ci, że jeśli naruszyłeś choćby jeden włos na głowie doktora Curtisa, odpowiesz za poważne uszkodzenie ciała.

Gary zwijał się i wiercił, próbując wyrwać się z kleszczy jej rąk.

- Nic mu nie zrobiłem - zaklinał się. - Słowo. Szafa się przewróciła, kiedy uciekałem.

- Udało ci się znaleźć coś na sprzedaż, Gary? A może szukałeś czegoś na własny użytek? Nisko upadłeś, skoro musisz już kraść z przychodni.

- Nie chciałem nikogo skrzywdzić - jęknął chłopak. Kathy ścisnęła go mocniej.

- Staniesz przed sądem. Co za miła wiadomość dla twojej matki...

- Niegrzeczny chłopiec. - Will wstał i patrzył teraz na swojego pacjenta z pogardą. - Uważasz, że kradzież narkotyków jest częścią terapii?

Gary kręcił się jak skarcony psiak.

- Nie chciałem, słowo, że nie chciałem nic złego. Musiałem tylko coś stąd zabrać, żeby stanąć na nogi...

- Żeby sprzedać - dokończył Will ostro. - Dla siebie miałeś dosyć, na receptę dostawałeś trzydzieści miligramów dwa razy dziennie, prawda? Ale pewnie jesteś komuś winien forszę, tak? A najłatwiej ukraść.

Twarz Willa była jak z kamienia, purpurowa szrama dodawała mu grozy.

- Jak się w to wpakowałeś, idioto? - rzucił, zabierając chłopcu pakunek. - Tak jak myślałem. Pięć ampulek morfiny. Trzymamy to na wypadek, gdyby ktoś dostał nagle ataku serca albo cierpiał z bólu nie do wytrzymania. A nie dla smarkaczy, którzy nie potrafią dobrać sobie towarzystwa. Jak otworzyłeś szafkę z lekarstwami?

- Przepraszam, więcej tego nie zrobię. Proszę dać mi szansę - błagał Gary.

Kathy niechętnie go uwolniła.

- Dostałeś ją i zmarnowałeś - oznajmiła chłodno. - A teraz powiedz nam łaskawie, jakim to podstępem dostałeś się tutaj? Dlaczego alarm nie zadziałał?

- Ja... schowałem się w szafie po wizycie u pana doktora i wyłączyłem alarm, kiedy wyszła recepcjonistka. - Słowa wylewały się z chłopca równie gwałtownie, jak towarzyszące im łzy. - Nie wiecie, co jeszcze zrobiłem. I tak wsadzą mnie do więzienia.

Kathy porozumiała się z Willem spojrzeniem.

- Ciekawe, co on ma na myśli? - powiedziała znacząco. - Warto by się tego dowiedzieć.

Will przytaknął.

- Pani doktor ma rację. Najwyższy czas, żebyś odkrył swoje tajemnice. I tak za kilka minut będziesz musiał zeznawać na policji.

Wziął chłopca za ramię, posadził na krześle i zamknął drzwi, po czym stanął przed nim z założonymi rękami.

- No, mów prawdę, czemu zachowujesz się jak ostami dureń?

Przez ułamek sekundy Kathy niemal współczuła chłopcu. Skulony na krześle, z głową ukrytą w dłoniach, wyglądał żałośnie. Kiedy podniósł wzrok, zobaczyli, jak beznadziejnie czuje się zagubiony.

- Wpadłem w złe towarzystwo w szkole. W domu był kryzys, ojciec odszedł, a matka ciągle biegła na jakieś zebrania - zaczął powoli.

- I to ma być wytłumaczenie? - Głos Willa brzmiał twardo i nieustępliwie.
- Trudna sytuacja rodzinna?

Chłopiec wił się niepocieszony.

- W pracy było potwornie nudno, a w sporcie jestem słaby. Z tymi ludźmi było mi dobrze, urządzali świetne balangi. Trzeba należeć do jakiejś grupy.

- Balangi, alkohol i dragi, tak? - rzucił Will.

- Zaczęliśmy od trawy - ciągnął Gary. - A potem to się jakoś wymknęło spod kontroli. Brałem herę, na krechę, i miałem spore długi. - Urwał, jakby musiał zebrać siły. Nagle znów zakrył twarz dłońmi i zdławionym głosem wyrzucił z siebie: - Wiem, że to głupie. Mówili, że forszę zdobywa się bardzo łatwo. Wystarczy pójść za jakąś staruszką, która odbiera emeryturę, i wyrwać jej torebkę.

- I co, spodobał ci się ten pomysł? - Głos Willa ciął powietrze jak nóż.

Oczy Gary'ego były czerwone od łez.

- Nie chciałem tego robić, zgodziłem się tylko stać jako czujka. Poszliśmy do supermarketu, nawet nie widziałem tej kobiety. - Chłopak zająknął się. - Dopiero później dowiedziałem się, że to była moja babcia i czułem się okropnie. Dlatego postanowiłem z tym zerwać. Naprawdę tego chcę, słowo.

- Ale ciągle masz długi.

- Tak - wyszeptał Gary. - Przepraszam.

Will dotknął jego ramienia i odezwał się łagodniej:

- Teraz musisz być silny, Gary. Musisz powtórzyć policji to wszystko, co usłyszeliśmy od ciebie, i ponieść karę. Potem będziesz mógł zacząć od początku. Dla twojej mamy i babci to będzie wstrząs, ale przebaczą ci, jeśli okażesz skruchę.

Godzinę później, po złożeniu zeznań, Kathy i Will opuszczali posterunek policji, gdzie musieli też podtrzymywać na duchu Pat Layton, która na wieść o kolejnym wyczynie syna zjawiała się kompletnie załamana.

- Chyba się cieszę, że tak się to skończyło - szepnęła Kathy do Willa.

- Tak, został już nieźle ukarany. Zaskoczyłaś go swoim nelsonem, zresztą nie tylko jego. Widzę, że godziny na siłowni nie poszły na marne. Cieszę się, że stanęłaś w mojej obronie - dodał, ledwo hamując śmiech.

- Przyznaję, że mi się to podobało - rzekła z zadowoleniem. - Czasami warto być dużą dziewczynką.

- Widzę przed sobą tylko pięknie zbudowaną kobietę - skomentował.

- Chciałaś powiedzieć: olbrzymkę - zaprotestowała.

- Chciałem powiedzieć: fantastyczną kobietę - poprawił zdecydowanie. - Sądzę jednak, że nie powinnaś stanowić jedynej siły obronnej naszej przychodni. Trzeba zainstalować lepszy alarm, jeśli obecny może unieruchomić nawet taki amator jak Gary. Kolejny problem do przełknięcia przez biednego Harry'ego. - Spojrzał na zegarek. - Nie wiem jak ty, ale ja umieram z głodu. Zajrzyjmy do tej włoskiej knajpki, przy okazji może wreszcie będę mógł ci coś powiedzieć.

- Teraz nie dam rady... - zawahała się.

- Ale musisz jeść - odparł rezolutnie.

Słowa Willa zaintrygowały ją, ale włoska restauracyjka była ciasna i zazwyczaj głośna. A ona tęskniła za ciszą. Nie bardzo też miała ochotę zapraszać go do domu, zwłaszcza że Lindy zamierzała zostać na noc u przyjaciółki.

Wreszcie odparła niezdecydowanie:

- Może kupiłbyś coś na wynos? Pojadę do domu i podgrzeję talerze w piecyku, będą gotowe, kiedy przyjedziesz.

Willowi bardzo spodobał się ten pomysł.

Kiedy zaspokoił głód, Kathy odsunęła talerz i wygodnie oparła się o krzesło. Danie było nadspodziewanie smaczne. Jedząc, rozważali kwestię bezpieczeństwa przychodni i rozmaite udogodnienia, jakie można by jeszcze wprowadzić. Will uparł się, że sam zrobi kawę, i teraz postawił przed Kathy parującą filiżankę.

- Chciałaś mi coś powiedzieć - rzekła, wypiwszy łyk aromatycznego napoju.

Will zaśmiał się nerwowo.

- To nie takie łatwe - przyznał. Przyglądała mu się zmieszana.

- Dlaczego? Czy to złe wiadomości?

- Zależy od punktu widzenia. Chciałem wyjaśnić ci pewną tajemnicę, ale obawiam się, że będzie dla ciebie jeszcze większym szokiem niż dla mnie.

- Na Boga! - Poruszyła się zniecierpliwiona. - Przestań wreszcie kręcić! O co chodzi?

- O coś, o czym masz prawo wiedzieć - oznajmił. - I co wytłumaczy kilka spraw związanych z moim wujem.

Jego ton był poważny, a nawet uroczyście doniosły, na co serce Kathy zareagowało gwałtownym trzepotem.

- To brzmi bardzo serio.

Podszedł do niej, kurczowo chwycił ją za ramiona i spojrzał na nią z przejęciem.

- Kiedy... dyskutowaliśmy na barce - zaczął powoli - wspomniałaś między innymi, że Randolph skrzywdził twoją matkę, i że to jeden z powodów twojej antypatii do niego. - Nie zdawał sobie sprawy, że w tym momencie wbił paznokcie w jej skórę. - Kathy, nie chcę, żeby coś nas dzieliło. Chcę, żebyśmy byli przyjaciółmi, i wiem, że to możliwe. Musiałem dowiedzieć się, co wydarzyło się między twoją matką i moim wujem. Żeby ci udowodnić, że Randolph nie jest taki zły, na jakiego wygląda.

Patrzyła na niego z rosnącym zdumieniem.

- Nie rozumiem. Odkryłeś, co Randolph zrobił mamie? Ujął delikatnie jej rękę i cicho powiedział:

- Być może było na odwrót.

Otworzyła usta, by mu przerwać, ale położył na nich palec.

- Kathy, kochanie, pozwól mi skończyć. Moim zdaniem to Randolph został skrzywdzony. I przez lata nosił w sobie ciężar żalu, dla którego nie znajdował ujścia.

- Co... ty pleciesz? Do czego zmierzasz?

Do oszołomionej Kathy dotarło jednak, że Will stara się być delikatny. Poczowała, że siada przy niej.

- Twój ojciec zmarł kilka miesięcy przed narodzeniem Lindy, około szesnastu lat temu. Nie myślę się chyba, że długo chorował, co musiało być bardzo trudne dla twojej matki.

- Tak, to prawda. Lindy go nie znała. - Kathy brakowało tchu, z ledwością wydobywała z siebie słowa.

- A więc ryzykując, że narażam się znów na twój gniew, zapytałem Randolpha wprost.

- I? - Kompletnie wyschły jej wargi. Will nie odwracał od niej wzroku.

- Przyznał, że Lindy jest jego córką.

Zamęt, jaki to wyznanie spowodowało w głowie Kathy, odebrał jej głos. Wreszcie wyszeptała:

- O czym ty mówisz? Nie wierzę, to bezwstydną, wierutną kłamstwo. Zmyślił to! Moja matka i Randolph Curtis! Nie rozśmieszaj mnie! - Zawładnęły ją pogarda i furia. - Wyobrażałam sobie, że to będzie jakaś ważna, przełomowa wiadomość. Myślisz, że taki idiotyczny wymysł sprawi, że polubię Randolpha? Zastanów się!

Zdecydowanym krokiem wyszła do kuchni. Ze złością wrzuciła do zlewu filiżankę z resztką kawy. Była dogłębnie oburzona bezczelnością insynuacji Willa. To skandaliczne! Kiedy jego słowa docierały do jej świadomości, gniew zamienił się w łzy, które nagle popłynęły silnym strumieniem. Konwulsyjnie chwyciła się krawędzi zlewu.

- Kathy, musisz mi uwierzyć. Wiem, że to prawda. Odwróciła się i stała teraz twarzą w twarz z pełnym współczuciem Willem.

- Skąd wiesz? Udowodnij to!

- Patrzyłem mu w oczy, słyszałem, w jaki sposób to mówił i widziałem, jak się przy tym zachowywał. Czuję, że od dawna pragnął się tym z kimś podzielić". Mówił ponad godzinę, jakby otworzyła się jakaś zaporą, i zapewniam cię, że był szczery.

Nie potrafiła przyjąć tego do wiadomości, nie mogła się z tym pogodzić. Zaczęła bronić się w jedyny sposób, jaki jej pozostał - krzykiem:

- Nie, nie wierzę! To nieprawda! - Ból był prawie nie do zniesienia. - Moja matka i on?! Dlaczego? Po co? Kochała ojca, tworzyli szczęśliwą parę.

- Nie kwestionuję tego - rzekł Will. - Ale sama pomyśl. Przez lata opiekowała się bardzo chorym mężem. Musiała czuć się samotna, oprócz niego miała tylko dziecko. Komu mogła się zwierzyć ze swoich problemów? I oto zjawia się mężczyzna, który ją kocha i gotowy jest zapewnić jej wygodne, wolne od trosk życie. Nie oskarżaj matki, bo była tylko zagubioną, młodą kobietą, która bardzo potrzebowała wsparcia.

Kathy kręciła głową, to wszystko ją przerastało.

- Ale czemu to ukrywała? Mam jej pamiętnik. Przeczytałam te kilka linijek, które wbiły mi się w pamięć na zawsze. „Nie poddam się Randolphowi Curtisowi, choćby mnie zmuszał”? Jak to brzmi, twoim zdaniem?

Will nabrał powietrza.

- Wuj twierdzi, że twoja matka, kiedy dowiedziała się, że jest w ciąży, wystraszyła się i miała poczucie winy. Zdawało jej się, że zdradziła pamięć

męża. Randolph błagał ją o rękę, a przynajmniej, żeby pozwoliła mu uznać córkę. Kiedy zdał sobie sprawę z frustracji twojej matki, obiecał, że zostawi ją w spokoju. Nie przyjęła od niego żadnej pomocy, tłumacząc, że nie sprzeda się mu, bo należy do swojego męża.

- Czemu powiedział ci o tym właśnie teraz? Will zbliżył się do Kathy.

- Postaw się na jego miejscu. Jak czuł się cały ten czas, obserwując córkę? Kochał twoją matkę i nie chciał jej jeszcze bardziej unieszczęśliwić po śmierci twojego ojca. Ale przez wszystkie te lata jego największym pragnieniem było ujawnienie prawdy, przywrócenie porządku, jak sam to nazywa. On czuje się samotny i chciałby, żeby Lindy o nim wiedziała. Teraz, kiedy nie ma już waszej matki, jego pragnienie mogłoby się ziścić.

Wziął jej twarz w swoje dłonie i patrzył pytająco.

- Chyba to rozumiesz?

Spojrzała na zdjęcie rodziców stojące na kominku. Byli tam młodzi i szczęśliwi, bez chmur, jakie przesłoniły ich dalsze lata. Nie mogła nie docenić, że Randolph przedłożył spokój matki nad własne szczęście. Czy zatem aż tak się myliła? Pomyślała o Lindy, która z takim zapałem pracowała w stajni Randolpha, wspominając często, jaki jest dla niej dobry, jak szczerze płaci jej za najmniejszy wysiłek.

Ten scenariusz był jednak zbyt zaskakujący. Kathy zalała się łzami. Tak bardzo kochała matkę, każda myśl o jej udęcie przyprawiała ją o tortury. Położyła głowę na ramieniu Willa i płakała bez końca, a on stał i lekko głaskał jej włosy.

- Już dobrze, kochanie, w porządku. Wszystko będzie dobrze. Gdybyś była na miejscu Lindy, na pewno chciałabyś poznać własnego ojca i wiedzieć, że on cię kocha.

Kathy odsunęła się i wyciągnęła z kieszeni chusteczkę, by osuszyć nią łzy.

- Chyba... myślę, że... - zaczęła nieskładnym szeptem. - To po prostu spadło na mnie jak grom z jasnego nieba. Nie mogę uwierzyć, że człowiek, którego tak nie znoszę, jest najbliższym krewnym mojej siostry. - Podniosła na niego wzrok. - Jak mam jej to powiedzieć? - Czuła się zupełnie bezradna. - Jaki wybrać moment?

- Znajdziemy go - odparł pewnym głosem. - Randolph przez lata ukrywał przed światem istnienie córki. Nie z własnej woli jednak. Czy ten fakt nie każe ci pomyśleć o nim inaczej?

- W zasadzie nie wiem teraz, co myśleć - przyznała z westchnieniem. - Tak bardzo Kocham Lindy. Jestem, zaszokowana odkryciem pokrewieństwa z Randolphem Curtisem. Z drugiej strony, życzę Lindy jak najlepiej...

- To przecież jasne. Robiłaś dotąd wszystko, co w twojej mocy. - Patrzył na nią ciepło. - Ale wracając do wuja, nie sądzisz, że w końcu nie jest taki zły?

Kathy uśmiechnęła się przez łzy.

- Mogę się mylić, ale nigdy nie zgodzę się z nim w sprawie ziemi. Za chwilę mi powiesz, że sprzedaż gruntu to jakiś niewiarygodnie dobry uczynek.

Trafiła w dziesiątkę. Intuicyjnie wyczuła zamiary Willa, którego twarz zalał właśnie rumieniec.

- Niewykluczone - mruknął pod nosem. - Nie kieruj się pozorami.

Zamilkła. Wolą nie drażnić tematu.

- Muszę już iść. - Zdjął z krzesła marynarkę i spojrzał na nią melancholijnie. - Mam nadzieję, że nie obciążylem cię za dużo tymi wiadomościami. W każdym razie, zrobiłem to w dobrej wierze. Decyzja należy do ciebie. Dopóki nie wyrazisz zgody, Randolph nie piśnie słówka. Wierzę jednak, że sama jej powiesz.

- Chyba tak, ale muszę wybrać odpowiedni moment. Patrzył na jej zrozpaczoną twarz, zdając sobie sprawę, że i tak dzielnie zniosła rewelacje, z jakimi do niej przyszedł. Nie potrafił się powstrzymać, chwycił ją w ramiona i lekko pocałował.

- Pamiętaj, że zawsze możesz liczyć na moje wsparcie.

Kolejny pocałunek był bardziej namiętny. Will ledwo oderwał się od jej wilgotnych ust, nie chciał jednak powtarzać błędu, jaki popełnił na barce.

- Do zobaczenia wkrótce - rzekł dość obojętnie. - Pewnie nie wcześniej niż za tydzień lub dwa, bo będę teraz bardzo zajęty. W razie czego nagraj się na sekretarkę.

Pomachał do niej i zmusił się do wyjścia.

Kathy dotknęła ciepłych jeszcze ust, po czym rzuciła się na kanapę i skuliła. Informacja o romansie matki wstrząsnęła nią do głębi. Przypominała sobie każde wypowiedziane przez Willa słowo, i raz za razem analizowała je w myśli.

I nagle wszystko zaczęło nabierać sensu. Oto młoda samotna kobieta z ciężko chorym mężem i bez środków do życia. Randolph, z pieniędzmi, pozycją i pochlebającym jej uczuciem, był dla niej niczym zbawca. Ale

potem, co także w pełni zrozumiała, w chwili śmierci męża odzywa się sumieniem. Kathy przyznała niechętnie, że Randolphowi też przypadła w udziale spora porcja cierpienia. To jasne, że kochał jej matkę, skoro zachował milczenie.

Była wdzięczna za sposób, w jaki Will jej to wszystko oznajmił. Przecież dla niego też nie było to łatwe. Zniknął gdzieś dawny żartowniś i flirtiarz, jakby - aż bała się o tym myśleć - naprawdę mu na niej zależało. A czyż przywiązanie i miłość nie są następstwem troski?

Spojrzała do lustra i omal nie krzyknęła. Wpadała właśnie w zgrabnie zastawioną pułapkę! Ona i Curtis?!

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Will przeglądał ostatni numer biuletynu „Narkotyki i Terapie”. Jego uwagę przyciągnął artykuł na temat kortykosteroidów i ich wdychania przez pacjentów z astmą. Litery skakały mu przed oczami. Nie mógł się skoncentrować, wciąż krążył myślą wokół sprawy Randolpha i Lindy, zastanawiając się, czy dobrze zrobił, informując o wszystkim Kathy.

Kiedy zadawał wujowi proste pytanie: „Dlaczego Kathy uważa, że skrzywdziłeś jej matkę?”, za nic w świecie nie spodziewał się takiej odpowiedzi.

Siedzieli na tarasie dużego domu wuja, pijąc drinki. Wieczór był piękny. Randolph nie doszedł jeszcze całkiem do siebie po operacji. Will wykorzystał moment - rozmawiali akurat o Kathy i jej siostrze. Randolph zachwycał się jeździeckimi umiejętnościami Lindy.

W chwili, gdy padło pytanie o matkę dziewcząt, zapadła cisza. Will był zaskoczony smutkiem, jaki wywołał niechcący na twarzy wuja, która natychmiast jeszcze bardziej zbladła i poszarzała.

- Przepraszam - odezwał się, poklepując go po ramieniu. - Nie chciałem cię martwić. Nie odpowiadaj, jeśli nie chcesz. Chciałem tylko wyjaśnić, dlaczego Kathy wciąż coś ci zarzuca. Nie wierzę, żebyś mógł skrzywdzić kogokolwiek z premedytacją.

- Ona nie ma pojęcia, co zaszło między mną i jej matką, nikt o tym nie wie! - odparł Randolph przejmująco.

- W takim razie niech tak zostanie, jeśli uważasz to za słuszne, a Kathy pozostaną domysły.

Randolph wychylił spory łyk whisky.

- Minęło tyle lat. Od dawna już zamierzałem wyznać prawdę, zwłaszcza po wyjściu ze szpitala. Bo tam przeraziłem się i uświadomiłem sobie, że nie będę żyć wiecznie. Najwyższy czas, żeby panny Macdowell poznały fakty. Tym bardziej że - tu spojrzął przenikliwie na Willa - historia może się powtórzyć.

- Nie rozumiem. Co ma się powtórzyć? Jakie fakty?

- Tak się dziwnie składa - ciągnął Randolph nieco lżejszym tonem - że kobiety Macdowellów rodzą w Curtisach fatalne zauroczenie. Darzyłem Rachel wielkim uczuciem, gdy jej męża złożyła choroba. A teraz coś mi się zdaje, że ty zakochałeś się w jej córce.

No i tak Will dowiedział się całej reszty. O tym, jak Rachel Macdowell zwróciła się do niego po radę, jak rosła ich napiętność, z której narodziło się dziecko, a to z kolei stało się przyczyną ich rozstania.

- Kochała mnie, wiem o tym - opowiadał Randolph ze wzruszeniem. - Ale jej szalone poczucie winy było tak głębokie, jej rozpacz tak wielka, że obiecałem odsunąć się i nie narzucać z pomocą. Od tamtej pory jestem sam - rzekł ze smutkiem. - A moim największym pragnieniem jest uściskać Lindy, moją ukochaną córkę, żeby wiedziała, kim dla niej jestem. A Kathy... jest prawie moją pasierbicą.

Wszystkie te wiadomości poruszyły Willa, który sądził, że wie o wuju wszystko. Był zawsze pewien, że stary Curtis kryje wrażliwe serce za szorstką powłoką, bo sam doświadczył dobroci z jego strony. Teraz liczył na to, że także Kathy doceni Randolpha.

Z wewnętrznej kieszeni marynarki wyciągnął niedużą fotografię. Twarz Kathy, ocieniona wielkim słomkowym kapeluszem, otoczona burzą miodowych włosów, uśmiechała się do niego. Zrobił to zdjęcie na barce, owego fatalnego popołudnia, kiedy zdał sobie sprawę, ile przeszkód musi pokonać, by zdobyć jej uczucie.

Z westchnieniem odłożył biuletyn i zabrał się do studiowania dokumentów dotyczących farmy Johna Macdowella. Długoterminowa dzierżawa może okazać się błędem, nie był przecież pewien, ile czasu zabawi w tej okolicy. Gdyby jeszcze musiał wykluczyć Kathy ze swego życia, pozostawanie w Bentham straciłoby sens. Wiedział, że po dalszych odkryciach, zwłaszcza w sprawie sprzedaży gruntów, Kathy może odsunąć się od niego na zawsze. Najbliższy tydzień miał przynajmniej wyjaśnić sytuację jego i ojca. Powoli podarł dokumenty na drobne kawałki i wrzucił je do kosza.

Lindy siedziała przy kuchennym oknie, przygotowując swój wegetariański lunch z makaronu, marchwi i szpinaku. Kathy zachodziła w głowę, jak najdelikatniej podzielić się z nią zaskakującym odkryciem. W jaki sposób Lindy to przyjmie? Przerazi się, nie uwierzy, a może po prostu będzie szczęśliwa?

Odchrząknęła, a Lindy spojrzała na nią badawczo.

- Co jest? Wyrzuć to z siebie, bo zachowujesz się od kilku dni jak kotka na rozpalonych ceglach. Dzisiejsza próba kostiumowa tak cię męczy?

- Raczej nie - powiedziała Kathy niewyraźnie, zawzięcie prasując bluzkę.

To, co miała do zakomunikowania, nie nadawało się do wyrzucenia z siebie ot, tak sobie. A niech to, myślała, Will wpakował ją w niezłą kabałę.

Lindy tarła ser do swojej potrawy.

- Chciałam wpaść do stajni po południu - oznajmiła.

- Randolph ma nowego konia, pozwolił mi go zobaczyć. Przynajmniej się trochę odprężę po tym cholernym egzaminie.

Kathy zaschło w gardle.

- Nie musisz się pouczyć na jutro? Lindy tylko wzruszyła ramionami.

- Nie, jutro będzie łatwizna. Dziś była matma. Nie rozumiem, jak mogą nas tak męczyć czymś, czego prawie nie przerobiliśmy na lekcji. Zabiłabym tę Brady. Ledwo zrobiła z nami tabliczkę mnożenia. Przecież nie przyjmą mnie na weterynarię, jak nie będę dobra z matmy. - Rzuciła w stronę Kathy zbolale spojrzenie. - Nigdy nie zdam tego egzaminu - jęknęła. - Ojciec Sary Philips jest świetny z matmy i pomaga jej. Aha, mogłabym pojechać z nimi na trochę do Londynu po egzaminach?

- Jasne. - Serce Kathy złapał skurcz. Gdyby tylko jej siostrzyczka wiedziała, że ma ojca, który także pomógłby jej w lekcjach, zabrał na wakacje... Tylko kto jej to powie?

Skończyła prasowanie, odłożyła bluzkę i zabrała się za lokalną gazetę, by czymś odwrócić uwagę od kłopotu. Na pierwszej stronie ogromne czarne litery układały się w tytuł: „Ostatnie analizy uprawomocniają sprzedaż ziemi”.

A więc stanie się. Nie ma ucieczki przed budową centrum rozrywki. Miała dotąd nadzieję, że nikt nie wyda pozwolenia, a przynajmniej że ktoś nakłoni Randolpha do zmiany zdania. Gazeta wylądowała na stole.

- Chyba wyjaśniła się nasza ulubiona sprawa - rzuciła cierpko. - Sama zobacz. - Podsunęła gazetę Lindy. - A tyle było protestów, zebraliśmy pieniądze i wszystko na nic! Zmarnowana energia!

Lindy rzuciła okiem na artykuł.

- Śmieszne, ale mnie się zdaje, że on wcale tego nie chce - powiedziała. - Nie mówi nic na ten temat, ale chyba mu żal. Może jeszcze nie jest za późno? Pogadaj dziś z Willem.

- Za każdym razem, kiedy poruszam ten temat, kłócimy się. Ale trudno - oświadczyła ponuro Kathy.

Teraz nadzieję dawało jej jeszcze tylko jedno: fakt, iż Lindy była w tej sprawie po jej stronie.

- Nie ma zmartwienia, kochani. Mówi się, że kiepska próba kostiumowa wróży dobrą premierę...

Molly rozbawiła wymęczonych aktorów swoim nieodłącznym optymizmem. Próba była jednym wielkim nieporozumieniem, aktorzy mylili tekst i wejścia, kostiumy nie pasowały. Jedna z kobiet wpadła w histerię, wykrzykując, że nie ma siły dłużej tego ciągnąć. Kathy z przykrością stwierdziła, że doskonale ją rozumie. Kochała teatr, ale życie dostarczało jej i tak nadmiernej porcji dramatów.

Obejrzała się. Will wraz z kilkoma innymi mężczyznami prznosił spory fragment dekoracji na drugą stronę sceny. Czekala, aż skończą, by po raz ostatni powrócić do sprawy ziemi, skoro transakcja nie została jeszcze dokonana.

Will rozchmurzył się na widok zbliżającej się Kathy, choć widać było, że dokuczają mu nie tylko zmęczenie.

- Cześć. I jak, jesteś gotowa na jutrzejszą premierę?

- Dzisiaj było tak źle, że może być tylko lepiej - odparła lekko zdenerwowana.

Will jakby na coś czekał, wreszcie zapytał:

- Rozmawiałaś już z Lindy?

- Nie, ma teraz egzaminy. Może za kilka dni. Mówiąc szczerze, nigdy w życiu tak się nie bałam. Ale masz rację, trzeba to zrobić.

Pokiwał głową.

- Cieszę się, że jesteśmy zgodni. Kto wie zresztą, może ją tym uszczęśliwisz? Nie myślę się chyba, że darzą się nawzajem sympatią, a on ją po prostu uwielbia.

Nadszedł moment, na który czekała Kathy.

- No właśnie. Być może ta miłość skłoni go do zmiany zdania. Czytałam w gazecie, że wydano pozwolenie na budowę centrum rozrywki.

Will drgnął i spoważniał. Musiała atakować, zanim on zbierze siły, by jej przerwać.

- Jeszcze nie jest za późno. Randolph na pewno przychyliłby się do prośby ukochanej córki.

Milcząc, wbił wzrok w ziemię. Wreszcie podniósł głowę i zaczął:

- W tej sprawie na mnie nie licz. Powtarzałem ci już nie raz: nie mam na to wpływu. Sprawa jest zamknięta i nieunikniona, podobnie jak powody, które do niej doprowadziły.

Miała ochotę tupać ze złości jak kapryśne dziecko.

- To śmieszne - nieomal krzyknęła. - Powiedz, o co w tym chodzi, to spróbuję zrozumieć!

- Wybacz, ale obiecałem i nie złamię słowa. - Patrzył na nią, obawiając się jej reakcji. - Kathy... powiedziałbym ci, gdybym mógł.

Jeśli nie chce jej zdradzić tajemnicy, to znaczy, że nie traktuje jej poważnie. O cóż tu chodzi, do licha, przecież nie zawahał się opowiedzieć jej o romansie matki.

- Dobrze. No to dobranoc.

Pragnęła, by jej głos brzmiał naturalnie i był pozbawiony emocji, ale tak naprawdę coś ścisnęło ją za gardło. Czuła się przegrana. Czym prędzej wybiegła z sali prób, przekonując się usilnie, że tak widocznie ma być. Jednak rozczarowanie brało górę i niczym żądło wbijało w nią truciznę.

Kiedy uciekała, usłyszała za sobą szybkie kroki, a potem ktoś chwycił ją z całej siły za rękę i obrócił gwałtownie. Miała przed sobą twarz Willa, który patrzył na nią błagalnie.

- Kathy, przestań się wściekać. Daj mi szansę wyjaśnić.

- Wyjaśnić? Ile razy cię o to prosiłam, ale moje prośby trafiały w pustkę! - Słowa wylewały się z niej jak wzburzona rzeka.

Podniósł ręce i zaraz opuścił je, jakby zrezygnowany.

- Podziwiam twoją konsekwencję i upór w walce o sprawę, która jest dla ciebie ważna. Ale niech to, do diabła, nie rozdziela nas, bo to dopiero jest śmieszne!

Wyglądał tak żałośnie, że Kathy zapragnęła otoczyć go ramionami i przytulić. Ale wtedy właśnie z budynku miejscowego teatru zaczęła wypływać fala roześmianych i rozgadanych ludzi. Plan Kathy wziął w łeb, nie miała ochoty tulić się przy świadkach. Pożegnała się skinieniem głowy i nie wiedząc, co innego mogłaby zrobić, odeszła.

Następnego dnia popołudniowe wizyty przedłużyły się. Alison Brown mieszkała na krańcach miasta, na ostatnim piętrze czteropiętrowego budynku bez windy. Kathy musiała pokonać odrapane schody, a gdy już znalazła się na górze, zorientowała się ze złością, że zostawiła aparat do mierzenia ciśnienia w samochodzie. Zbiegając na dół, zastanawiała się, jak Alison będzie pokonywać tę drogę z nowo narodzonym dzieckiem i wszystkim, czego taki maluch potrzebuje, żeby wyruszyć w świat.

Przerażające było również to, że Alison i jej chłopak mieli dopiero po osiemnaście lat. Na szczęście Eddy dostał pracę w miejscowym parku i młodzi, mimo podłych warunków, w jakich przyszło im żyć, nie tracili radości i optymizmu.

- Tak, pani doktor - trąkotał radośnie świeżo upieczony tatuś. - Doprowadzę to do porządku. Trzeba tylko odmalować, prawda, kochanie? I tak fajnie, żeśmy to dostali, bo musielibyśmy siedzieć z rodzicami.

Tak, pewnie ma rację, pomyślała Kathy. Cała liczna, wesoła i niepraktyczna rodzinka Alison tłoczyła się w małym domku.

W krótkiej bawełnianej sukience Alison wyglądała jak dziewczynka, która trzyma w ramionach lalkę. Była tak drobna, że donoszenie i urodzenie przez nią dziecka na oko graniczyło z cudem.

- Dostaniemy firanki od opieki społecznej - cieszyła się. - A wózek da mi siostra.

Obskurne, łuszczące się ściany i pęknięty zlew w rogu pokoju nie napawały Kathy podobnym entuzjazmem.

- Na pewno zrobisz z tego cacko, Eddy - powiedziała, kryjąc sceptycyzm. - Mimo wszystko porozmawiam w wydziale mieszkaniowym, może znalazłoby się jakieś wygodniejsze lokum. Alison wciąż ma anemię. Byłoby lepiej, gdybyście mieszkali na parterze, odpadłoby dźwiganie wózka.

- Poszło nam z porodem, to z całą resztą też damy sobie radę - rzekł Eddy zdecydowanie. - Bałem się porodu bardziej niż Alison, nawet ta szkoła rodzenia mało pomogła. No i zemdlałem w najważniejszej chwili, musieli mnie na noszach wynosić.

Alison z dumą spoglądała na męża.

- On jest bardzo dzielny. Znalazł gdzieś stary wózek, naprawia go teraz. - Przez zmęczoną twarz dziewczyny przemknął cień. - Pani doktor, chciałam o coś zapytać. Przyszła do mnie dzisiaj sąsiadka i powiedziała, że mała ma żółtaczkę. Zmartwiłam się. Czy to znaczy, że ma chorą wątrobę?

Kathy wzięła maleństwo na ręce i huśtała je delikatnie. Dziewczynka miała nieco ciemniejszą cerę, charakterystyczną dla niemowlaków, których wątroba nie wydziela jeszcze wystarczająco pigmentu bilirubiny.

- Nie musisz się martwić. To się dzieciom bardzo często zdarza, taka fizjologiczna żółtaczka. Położna będzie obserwować małą, ale moim zdaniem, w ciągu dwu dni wszystko minie. Gdyby zabarwienie skóry nie zmieniło się przez dziesięć dni, zrobimy badanie krwi. Uważam jednak, że to wyłącznie przejściowe.

Dziewczynka urodziła się z bardzo małą wagą. Położna codziennie odwiedzała młode matki, a Kathy także starała się jak najszybciej po porodzie zobaczyć nowych obywateli Bentham.

- Mała jest naprawdę w świetnej formie. Pełnowinna ładnie się goi, dziecko reaguje prawidłowo. Udaje ci się trochę pospać?

Na bladej, szczupłej twarzy Alison widniały pod oczami ciemne kręgi.

- Niewiele - przyznała - ale jakoś sobie radzę.

Kathy oddała maleństwo matce. Dziewczynka ziewnęła szeroko, a Kathy poczuła dziwną tęsknotę, jaką zawsze wywoływały w niej małe dzieci.

- Nie zapomnijcie przyjść na szczepienie, a ciebie chciałabym zobaczyć za sześć tygodni. Oczywiście, wpadnij wcześniej, gdyby coś cię niepokoiło.

Eddy zasalutował zabawnie.

- Tak jest, pani doktor.

Było już późno, gdy wróciła do gabinetu, żeby zrobić notatki z wizyty u Alison. Czekąco ją także napisanie listu do wydziału mieszkaniowego. A niedługo powinna znaleźć się na scenie, stwierdziła z przerażeniem, patrząc na zegarek. Na szczęście, mieli przed sobą tylko trzy przedstawienia. Nie po raz pierwszy wyrzucała sobie, że w ogóle zgodziła się zagrać. Zdawało jej się, że nie pamięta ani linijki tekstu, i że nie opanuje tremy. Gdyby tylko całe to przedsięwzięcie nie służyło zebraniu funduszy na tak szlachetny cel!

Schowała karty pacjentów do szuflady, wyłączyła komputer. Czowała się tak, jakby za moment miano wykonać na niej wyrok.

Premiera udała się wyśmienicie, wbrew obawom, jakie zrodziły się po kiepskiej próbie kostiumowej. Co prawda sufler zgubił się w czasie drugiego aktu i aktorzy przez parę minut brnęli desperacko bez żadnej pomocy. Poza tym fragment scenografii spadł z hukiem w czasie monologu głównego bohatera, a w ostatniej scenie zgasło światło. Żaden z tych epizodów nie odstraszył jednak widowni, która przetrwała wszystko, i przyjęła spektakl z ogromnym zadowoleniem i aplauzem.

Po ostatnich brawach Kathy runęła ciężko na kanapę w garderobie. Odetchnęła z ulgą, że już po wszystkim i że nie wydarzyła się jakaś większa katastrofa. Owacje sprawiły, że wyraźnie wzrósł jej poziom adrenaliny, a kiedy zerknęła na Willa, poczuła, jak wypełniają ogromna energia.

Gratulacjom i uściskom nie było końca, wokół krążyły niezliczone ilości puszek z piwem, z których pociągano gęsto i chętnie. Kathy weszła za parawan i krytycznie spojrzała na rzeczy, w które miała się przebrać na bankiet. Nie miała czasu zastanowić się nad tym wcześniej. Wpadła do domu na chwilę i złapała pierwszy lepszy wygodny ciuch, jaki wpadł jej w rękę. No i okazało się, że zamiast zaplanowanych czarnych spodni z grzecznym topem wrzuciła do torby kremową, wydekolowaną bluzkę i czarne,

zdecydowanie zbyt obcisłe legginsy. Nie miała już szansy zamienić tego wyzywającego stroju na coś bardziej statecznego. Mogła liczyć wyłącznie na pozytywny rezultat wizyt na siłowni.

Uchyliła kurtynę. Will siedział z boku sceny. Wyglądał fantastycznie, śnieżnobiałą koszulę z rozpiętym kołnierzykiem wyłożył luźno na stare dżinsowe spodnie. Wyglądał na człowieka, który jest odprężony, niedostępny i niemożliwie seksowny. Nerwowy rzut okiem na własne odbicie w zakurzonej lustrze uwolnił w Kathy powściągane dotąd podniecenie, które teraz rosło. Złożyło się na to zarówno dobre przyjęcie spektaklu, jak i świadomość, że niezależnie od jej opinii o Willu chce być blisko niego, widzieć go, rozmawiać z nim, i właśnie ten wieczór dawał jej taką możliwość.

Rozległa się muzyka, której rytm porywał do tańca. Peter, sceniczny partner Kathy, pociągnął ją na parkiet. Zabawa rozkręcała się na dobre. Kathy wirowała, wkrótce do pierwszej pary dołączyli wszyscy prócz Willa, który w milczeniu obserwował jej taneczne wyczyny. Poczula, że spinki wypadły jej z włosów, które fruwały teraz wokół jej głowy jak szalone. Skąpa bluzka uniosła się, odsłaniając brzuch, a może i więcej. Na myśl o tym zachichotała rozbawiona.

Do końca wieczoru Will siedział w kącie, a ona wciąż zmieniała partnerów. Peter ulotnił się na chwilę, by wspomóc się kolejnym łykiem piwa, Kathy raczyła się tanim, kiepskim winem. Wreszcie padła wyczerpana na ławce pod ścianą. Z głośnika rozległ się pulsujący głos Elvisa Presleya, śpiewającego "It's Now or Never".

- Zatańczy pani ze mną, doktor Macdowell? - Czyjaś dłoń chwyciła ją i podciągnęła do góry.

Czyż nie o tym właśnie marzyła podświadomie przez cały wieczór? Bała się już, że Will w ogóle jej nie poprosi do tańca. Wśliznęła się w jego ramiona i przytuleni, kołysali się w takt przepelnionej erotyzmem melodii.

Ktoś przyciemnił światła, Kathy widziała tylko wyraźnie zarysowany profil tuż przy swojej twarzy. Will nie odzywał się. Nie musiał, czuła jego ciało spięte pożądaniem. W takiej trochę nierealnej atmosferze zniknęły wszelkie bariery i zakazy. Zatraciła się w tej chwili, przylgnęła do niego, odsuwając w niepamięć to, co ich dzieli. Jego zapach, jego oddech na jej policzku, dawały jej siłę i nieziemską przyjemność.

- Mogę cię o coś zapytać? - odezwał się, przyciskając ją do siebie. - Dobrze ci teraz?

Roześmiała się.

- Nie widać? Czemu pytasz?

- Bo nie chcę zrobić nic przeciw tobie. Byliśmy już w podobnej sytuacji.

- Może - stwierdziła łobuzersko. - Może dzisiaj powinniśmy się tym cieszyć.

Wtulala się w niego, w jego ramiona otaczające ściśle jej kibić. Pochylił głowę i pocałował ją najpierw lekko, a potem, widząc, że się nie broni, mocno i namiętnie.

- Kathy - powtarzał zapamiętale. - Jesteś tu dzisiaj najjaśniejszą gwiazdą. I najbardziej pociągającą.

Cóż, nie potrafiła mu się oprzeć. Muzyka zamilkła, zrobiło się znów trochę jaśniej. Światło odkrywało pary z zamglonym wzrokiem, które z trudem odrywały się od siebie lub pozostawały splątane w objęciach, zapominając o całym świecie. Will odsunął się nieco od Kathy.

- Tak szybko wczoraj odeszłaś. Myślałem już, że nie chcesz mieć ze mną więcej do czynienia - odezwał się cicho. - Byłaś na mnie zła?

Rozmarzona i niemal omdlała, uśmiechnęła się.

- Nie - zapewniła i ni stąd, ni zowąd ocknęła się i kompletnie zmieniła ton. - Jakie to wszystko idiotyczne.

- Co?

- Sprzedaż ziemi, oczywiście. Już nigdy nie będzie tu tak samo. Nie rozumiem waszej rodziny. Jak w ogóle można się do was zbliżyć?

I znów, jak wiele razy dotąd, nacisnęła guzik, który natychmiast odmieniał oblicze Willa. Zesztywniał, zniknęło gdzieś ciepło i czułość, jakimi przed chwilą promieniował. W słabym świetle surowo lśniły jego oczy.

- Do diabła! Czy ty nigdy nie przestaniesz tego powtarzać? Nie możesz zapomnieć, jak się nazywam? - W jego ściszym głosie pobrzmiwała groźba.

- O co ci chodzi? - spytała nieco zakłopotana. - Wiesz, co w związku z tym czuję.

Uśmiechnął się sardonicznie.

- Nikomu ani niczemu nie ufasz. Już mi się wydawało, że coś między nami zaiskrzyło, jakaś magia, i przysiągłbym, że było ci tak dobrze jak mnie. Ale ty zawsze, nawet w takiej sytuacji, wyciągasz na wierzch ten sam problem.

Wyzwolila się z jego objęć.

- Bo mnie to denerwuje. A ty nie rozumiesz...

- Ale chyba zaczynam rozumieć. Robisz mi nadzieję, ale masz w tym swój cel. Chcesz, żebym stanął po twojej stronie. Twoja namiętność jest wykalkulowana.

Patrzyła na niego ogłupiała.

- To nieprawda! - broniła się, oddychając ciężko.

W jego oczach zabłysła mieszanina smutku i rezygnacji.

- No cóż, moja droga. Poddaję się. Zawsze, kiedy zdaje mi się, że coś nas łączy, wyskakujesz z tą samą sprawą. Chyba zamknę ten rozdział mojego życia. Nie mogę bez przerwy osłaniać mojej rodziny przed twoimi atakami ani ludzić się, że to ja jestem dla ciebie ważny.

- Co masz na myśli? - wyszeptała.

- A to, że doszedłem właśnie do wniosku, że nie mogę dłużej z tobą pracować. Miałem nadzieję, że ten wieczór będzie inny. Ale nie, twoja obsesja wraca jak bumerang. Niestety, mnie ona nie dotyczy.

- Wszystko przekręcasz, to nie tak - zaprotestowała z żarem.

- Właśnie że tak. Zwalniam się, nie mamy wspólnej przyszłości, ani zawodowej, ani żadnej innej. Może wrócę do Afryki, tam przynajmniej jestem komuś potrzebny. Dobranoc, Kathy.

Uklonił się, ale był to ukłon zdecydowanie błazeński. Odszedł, zanim mogła wykrztusić choćby jedno słowo.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Przyszedł do pani ten akwizytor od leków - oświadczyła Ruth, wsuwając głowę do gabinetu. - Mówiłam, że jest pani zajęta, ale on się upiera, że jest umówiony.

Kathy westchnęła. To Will się umówił, a teraz go nie ma. Wyrzała przez półprzymknięte drzwi. Młody człowiek kurczowo trzymał teczkę i paczkę z napisem Bentham Deli. Zgadywała, że paczuszka z lunchem ma być zapłatą za wysłuchanie go, taki panował od niedawna zwyczaj. Żegnajcie, wolne chwile, kiedy można było wyskoczyć na lunch z przychodni! Czekala ją dziesięciominutowa reklama nowego produktu przemysłu farmaceutycznego.

A nie miała najmniejszej ochoty słuchać kogokolwiek choćby przez dziesięć sekund. Wciąż nie otrząsnęła się z szoku po rozstaniu z Willem. Czemu to wszystko skończyło się tak szybko? W jednej chwili tańczyli objęci i przytuleni, a już w następnej oskarżał ją o manipulowanie jego uczuciami. Od tamtego czasu minął tydzień, a Kathy wciąż nie mogła pozbyć się żalu, który przepełniał jej serce.

Kobiety zachowują się czasami tak beznadziejnie głupio, myślała, prosząc do środka młodego akwizytora. Przypuszczała, że Will umknął do Afryki, nie czekając ani chwili na jakiegokolwiek wyjaśnienia z jej strony. I to ona zapewne pchnęła go do tego. Trochę więc za późno na żal. Powinna była wiedzieć, że kocha go bezwarunkowo i odrzucić uprzedzenia.

Gdy zatapiała się w takich myślach, ogarniał ją wszechobejmujący smutek. Starła się wyrzucić z pamięci twarz Willa, by nie dodawać sobie bólu. Skończyło się i musi teraz brnąć dalej przez życie tak, jak robiła to, zanim się pojawił. Powtarzała sobie, że doskonale się bez niego obejdzie. Jest przecież mocną kobietą i nie potrzebuje mężczyzny.

Ktoś chrząknął. Kathy tak zapadła się w siebie, że zapomniała o gościu, który stał na środku pokoju, zmieszany i niepewny, czy wolno mu usiąść bez zaproszenia. Był tak młody, że zapewne była to jego pierwsza w życiu praca.

- Przepraszam - zreflektowała się. - Proszę spocząć. - Zmusiła się do uśmiechu, by go ośmielić. - Może od razu zechce mi pan powiedzieć o tym inhibitorze kwasów?

Napięcie w głosie, którego nie udało się jej zakamufłować, na moment zbiło gościa z tropu.

- Może najpierw coś pani przekąsi? - spytał z wahaniem.

Wiedział jednak, jak postępować z niechętnym słuchaczem - najpierw poczęstunek, potem wykład. Właściwie nawet mu współczuła, w obecnym nastroju będzie dla niego twardym orzechem do zgryzienia.

Chłopak uniósł wzrok i powiedział pospiesznie:

- To może zacznę od naszego nowego inhibitora protonowego, bardzo efektywnego w przypadku nieuleczalnego raka żołądka...

Jego słowa płynęły monotonicznie w przestrzeni, omijając Kathy, skupioną na własnych myślach. Trzeba było dwudziestu dziewięciu lat, żeby spotkała miłość swojego życia, i ona ją odrzuciła, jakby była częstym i powtarzalnym zjawiskiem.

Zanim spotka następną, zbliży się pewnie do sześćdziesiątki! Powiedzenie, że w morzu jest dużo ryb do złapania, nie było dla niej żadnym pocieszeniem. Westchnęła głęboko, czym wywołała kolejny atak paniki u młodego mężczyzny.

- W porządku - rzuciła. - Coś mi siedzi w gardle. Pańska oferta brzmi interesująco, zastanowię się.

- Nie ma pani ochoty na mus z tuńczyka? - Młodzieniec pchnął w jej stronę tackę z jedzeniem. - Jest pyszny...

- Proszę wybaczyć, ale nie jestem głodna. Akwizytor był kompletnie załamany. Poniósł podwójną porażkę, nie wepchnął Kathy ani tuńczyka, ani inhibitora! Na widok jego miny zaczęła mięknać.

- Niech pan to zostawi w recepcji - poprosiła. - Ruth i pielęgniarki na pewno chętnie się poczęstują. -1 wróciła do niewesołych rozważań o przyszłości.

A jednak Will pojawiał się w okolicy. Kathy kilka razy widziała jego samochód zaparkowany w różnych miejscach. Przyjeżdżał od czasu do czasu, by przekazać obowiązki nowemu lekarzowi, który wcześniej zrezygnował z innej praktyki, nie osiągnąwszy wieku emerytalnego. Nazywał się Bill Burton. Był bardzo sympatycznym człowiekiem, ale dla Kathy wszystko się zmieniło. Nie przychodziła już do pracy z nadzieją, ale z bólem i zmęczeniem, wywołanymi przez fakt, że wszystko to stało się z jej winy.

Niewielki klomb obok parkingu zamienił się tymczasem w piękny żywopłot. Nad wejściem widniał nowy napis z nazwą placówki. Rozpoczęła się rozbudowa ośrodka, który coraz mniej przypominał już zaniedbany, walący się budynek, jaki zastał Will. Wystarczyło na to wszystko ledwie kilka tygodni. Will zostawił po sobie znaczący, nieusuwalny ślad.

Kathy poderwała się zza biurka. Myśl pozytywnie, przypominała sobie bez przerwy. Dość już rozczulania się nad sobą. Postanowiła rozpocząć nowe życie. Miała wolne popołudnie i zamierzała poświęcić je czemuś, co obiecywała sobie od dawna...

Zakład fryzjerski na głównej ulicy Bentham nosił nazwę Strands. Tłoczyło się tam całe mnóstwo niemożliwie szczupłych dziewcząt i chłopców o oryginalnych i kolorowych fryzurach. Kathy rzadko bywała u fryzjera, a każda wizyta tam sprawiała, że czuła się natychmiast staromodną grubaską.

Zerknęła na swoje odbicie w jednym z ogromnych luster. Doskonałe oświetlenie wydobywało, niestety, jej zaniedbany w porównaniu z innymi wygląd. Po zmianie fryzury wybierała się po zakupy. Wypatrzyła dla siebie ciemny, cynamonowy garnitur i buty, i zamierzała zrujnować się, by je mieć.

Anorektyczna dziewczyna z burzą rudych włosów, jak modelki na obrazach prerafaelitów, wzięła od Kathy porządną, grzeczną żakiet i zarzuciła jej białą pelerynkę na ramiona.

- Bernard zajmie się panią za chwilę - wymruczała przez pomalowane czarną pomadką usta.

Bernard niezmiennie wpadał w podziw nad grubością i kolorem włosów Kathy. Przywitał się z nią jak bliski, dawno nie widziany znajomy.

- Doktor Macdowell! Jak miło! Przycinamy na sucho, jak zwykle? - Uniósł do góry kosmyk, przypatrując mu się krytycznie. - Oho, wysuszyliśmy trochę włosy, końcóweczki się rozdwiają tu i tam. Przydałaby się jakaś mała kuracja.

Kathy spojrzała na niego bohatersko.

- Daję panu wolną rękę. Postanowiłam wszystko zmienić. Patrzyła potem osłupiała, jak jej gęste włosy spadają na podłogę, a w lustrze pojawia się jej nowa twarz. Odcięłam się od przeszłości, pomyślała posepnie. Po co? Dlaczego? Ujrzała nagle jakąś małą główkę na okazałym ciele i zaśmiała się nerwowo, gdy nożyczki Bernarda błyskały wokół niej.

Fryzjer wysuszył skrócone włosy, zrobił krok do tyłu i patrzył w lustro zmrużonymi oczami.

- Znakomicie! - oświadczył. - Teraz widać pani piękne kości policzkowe. A jak duże wydają się teraz pani oczy! Dawno powinna się była pani na to zdecydować.

Nie podzielała w pełni jego entuzjazmu, choć dostrzegła, że wygląda nowocześniej i bardziej wyrafinowanie. Ściągnęła ramiona. To było to!

Dokładnie tego chciała. Will mówił, żeby nigdy nie ścinała włosów, ale ona obejdzie się bez jego rad. Oto zaczęło się jej nowe życie!

- Pani doktor, wygląda pani tak dobrze, że pani nie poznałam!

- Dziękuję - odrzekła chłodno Kathy, a zaraz potem uśmiechnęła się, bo Ruth zakryła usta dłonią.

- Proszę wybaczyć, nie miałam na myśli, że przedtem wyglądała pani gorzej, ale... zmiana jest ogromna.

- To nowy wizerunek. Zresztą ty byłaś pierwsza. Ruth zarumieniła się.

- Najwyższy czas. Całe lata nosiłam jedną fryzurę.

- Racja. To samo pomyślałam. - Kathy spojrzała na recepcjonistkę z uśmiechem. - A co na to Charlie Lennox?

Jakiś czas temu domyśliła się, że to Charlie, robotnik z budowy, tak znacząco wpłynął na życie Ruth. Niejeden raz widziała jak, trzymając się za rękę, wracali z ośrodka. I tak dla jednej z nich powodem przemiany była miłość, dla drugiej utrata miłości.

Ruth zachichotała pociesznie i wybiegła z gabinetu. Kathy patrzyła za nią z zazdrością. Przynajmniej jej udał się romans.

Czekało ją teraz najtrudniejsze w jej życiu zadanie. Musi wreszcie powiedzieć Lindy, kto jest jej ojcem. Miała nadzieję, że pomoże jej w tym nowy wizerunek współczesnej przebojowej kobiety, ale na wszelki wypadek wspomogła się szklaneczką czerwonego wina. Rzeczywistość okazała się jednak stosunkowo prosta. Lindy z trudem dawała wiarę jej słowom, ale powitała nowinę z euforią.

- Polecę do niego, dobrze? Jak go zobaczę, to może w to uwierzę! - wykrzykiwała chaotycznie, błagając siostrę o pozwolenie. - Dla ciebie to pewnie trudne. Wiem, że nie bardzo go lubisz, ale ja przeciwnie. Wiesz o tym... - Spojrzała na Kathy z błyskiem w oku. - No to Will jest moim kuzynem, bomba!

- Tak, fantastycznie - powiedziała Kathy nieszczerze, widząc czystą ironię w tym rodzinnym, bliskim związku, gdy właśnie się rozstali.

Patrzyła na promienną, kipiącą życiem Lindy i myślała, jakie to szczęście dla Randolpha odzyskać taką córkę.

- Powinnaś pójść, jeśli chcesz się z nim zobaczyć - dodała. - Zadzwoń tylko, żeby go uprzedzić i zaraz cię tam zawiozę. Zostawię was samych, macie mnóstwo do obgadania...

Lindy rzuciła się siostrze na szyję.

- Nawet nie wiesz, jakie to dziwne uczucie tak nagle odzyskać ojca. Ale ty zawsze będziesz moją najlepszą i najważniejszą siostrzyczką!

W domu zrobiło się jakby chłodniej i bardziej ponuro. Rafter wygrzewał się, rozciągnięty przed niedużym kominkiem, wzdychając i popiskując przez sen, bowiem śniły mu się uciekające przed nim zające.

- Tylko ty mi zostałeś, Rafter - stwierdziła Kathy smętnie. - Nikomu więcej nie jestem już potrzebna.

Pies poruszył lekko ogonem na dźwięk swojego imienia, ale nie chciało mu się otwierać oczu.

- Schrzaniłam całe swoje dotychczasowe życie. Rafter ponownie uruchomił ogon - na znak, że całkowicie się z nią zgadza.

- Zaczniemy od tego, że nie trzeba było przyjmować Willa Curtisa do pracy - ciągnęła przygnębiona.

Rafter zachrapał, a ona zrezygnowana włączyła telewizor, licząc, że jakaś zwariowana komedia oderwie ją od smutnej rzeczywistości samotnej i niekochanej kobiety, jaką się czuła. Trafiała jednak na lokalne wiadomości. Wysłuchiwała zatrważającego raportu o przestępczości, dowiedziała się też, że szef jednej z miejscowych restauracji wygrał ogólnokrajowy konkurs na najlepszego kucharza.

Kolejny obraz na ekranie niemal pozbawił ją tchu. Widniała przed nią, w zbliżeniu, uśmiechnięta twarz Willa! Z trudem nad sobą panowała. Co robi przed budynkiem sądu, otoczony tłumem ludzi, podtrzymując starszego mężczyznę, który stał obok? Nachyliła się w stronę ekranu, i nastawiła odbiornik głośniej.

Niski głos Willa wypełnił pokój.

- Chciałbym podziękować tym wszystkim, którzy wspierali mojego ojca w jego drodze do sprawiedliwości. Wiedzieliśmy, że jest niewinny, a teraz, gdy potwierdził to wyrok sądu apelacyjnego, może szczęśliwie wrócić do swojego życia i optymistycznie patrzeć w przyszłość.

Na ekranie pojawił się jakiś dziennikarz. Rozmawiał z adwokatem o nowych dowodach, świadczących o tym, że Gordon Curtis nie miał nic wspólnego z defraudacją w firmie prawniczej, której był współnikiem. Kathy krzyknęła ze zdumienia. Rafter zerwał się na równe nogi, patrząc na nią z wyrzutem, po czym otrzepał się i wyniósł do kuchni.

- Coś podobnego! - szepnęła do siebie. - Ojciec Willa siedział w więzieniu!

Czemu Will jej o tym nie wspomniał? Nie bał się chyba, że źle o nim pomyśli? Przypomniało się jej, jak mówił o konieczności utrzymania tajemnicy. Powoli wszystko zaczęło nabierać sensu: niejasne uwagi na temat ojca i przewidywana radość starszego pana z zamieszkania na farmie Johna.

Przygotowała sobie gorącą kąpiel i z kieliszkiem wina przetrawiła w wannie zaskakujące wieści. Cały czas myślała, że Will przyjechał do Bentham, by zaopiekować się chorym ojcem. Nigdy nie odgadłaby prawdy. Wygrana w sądzie nie nastroiła jej jednak wesoło, oznaczała bowiem, że Will nie ma w jej mieście nic więcej do roboty.

Zanurzona w pianie, wymyślała sobie zajęcia, które pomogłyby jej zapomnieć o jasnyniebiskich oczach i ich właścicielu. Nie mogła się zdecydować, co będzie lepsze: biegi, golf, a może brydż? Postanowiła zrobić listę spraw do załatwienia i rozmaitych projektów i wyskoczyła z wanny, wkładając na wilgotne ciało krótką, jedwabną koszulkę.

Czekało na nią teraz tylko łóżko. Lindy zadzwoniła z wiadomością, że zostanie na noc u Randolpha. Kathy zastanawiała się, czy siostra słyszała już wiadomość o ojcu Willa, ale ta trajkotała tylko radośnie o tysiącu nowych spraw i planów. Trudno było jej przerwać. Kathy zgasła lampkę nocną i usiłowała zasnąć.

Gdy w końcu zapadła w drzemkę, śnił jej się naprawiany właśnie dach w przychodni, a gdy równocześnie usłyszała odgłos młotka, zdała sobie sprawę, że ktoś prawdopodobnie włamuje się do jej domu. Usiadła nagle, a przez jej głowę przebiegły setki różnych myśli, nawet taka, że to Gary Layton przyszedł się na niej zemścić. Wstała, wzięła z krzesła stary sweter i szczelnie się nim otuliła. Sięgnęła po raketę tenisową, opartą o ścianę w holu, i trzymała ją niczym groźną broń, krzycząc przez drzwi.

- Kto tam? O co chodzi?

- No, a jak myślisz? - usłyszała znajomy, trochę zniecierpliwiony głos. - Otworzyła natychmiast drzwi, trzymając raketę nad głową. - Co ty zrobiłaś z włosami?

Błękitne oczy wpatrywały się w nią z uśmiechem, a jej serce waliło jak zwariowane. Nie była pewna, czy to sen, czy jawa. Dopiero co widziała go na ekranie telewizora. Na wszelki wypadek zasłoniła głowę ręką.

- Ścięłam je - odparła, i doprowadzając się do jakiegoś takiego porządku, by wyglądać choć trochę przyzwoiciej, zauważyła chłodno: - Widziałam cię w wiadomościach. Myślałam, że świętujesz teraz zwycięstwo u wuja. Po co przyszedłeś?

- Powiem ci, ale może wpuściłabyś mnie do środka? Koszulka jest urocza, ale stojąc tu w niej, masz dużą szansę na zapalenie płuc.

Cofnęła się posłusznie.

- Nie wiedziałam o więzieniu, nic mi nie mówiłeś - poskarżyła się. - Bałeś się, że nie zrozumie? Szkoda, bo to mogło wiele wyjaśnić.

- Ale mówiłem ci, że dałem słowo. Ojciec prosił mnie o całkowitą dyskrecję i nikt, oprócz wuja, oczywiście, nie miał o tym pojęcia. Więc przyszedłem teraz.

- Zostało coś do powiedzenia? - spytała odrobinę znużona. Chwytał ją za rękę.

- Jestem tu częściowo z powodu uwolnienia ojca. Uniewinniono go, a więc nie potrzebujemy już pieniędzy. Randolph nie musi sprzedawać ziemi, żeby nam pomóc.

Jej oczy robiły się coraz większe. A on szukał w nich zrozumienia.

- Chcesz powiedzieć - zaczęła łamiącym się głosem - że to był jedyny powód sprzedaży gruntów?

Will przytaknął.

- Wuj nie zamierzał niczego się pozbywać, ale wydawało się, że to jedyny ratunek. Teraz i ty możesz świętować, a na dodatek może się wreszcie przekonasz, że Randolph nie jest potworem, za jakiego go bierzesz.

Odwróciła się. Widziała jego odbicie w niewielkim lustrze na ścianie pokoju.

- Wspaniałe wieści - przyznała cicho. - Bardzo się cieszę. - Zbliżyła się do niego. - Dzięki, że przyszedłeś mi to sam powiedzieć, choć na pewno i tak bym się dowiedziała.

- To tylko jeden z powodów mojej wizyty.

- No to słucham.

Czuła w sobie kompletną pustkę. Nie wiadomo dlaczego, dobre wiadomości nie wystarczyły, by zmienić jej podły nastrój i odsunąć depresję na bezpieczną odległość. Tak mu nadokuczała z powodu Randolpha, a tu nagle okazuje się, że się zwyczajnie wygłupiła.

- Nie domyślasz się, moja ty ostrzyżona owieczko? Musimy coś dokończyć.

- O co ci chodzi? Chyba wyjaśniliśmy sobie wszystko?

- Jej głos był pełen gorczy.

- Może się myliłem, może nie rozumiałem cię do końca - mówił, patrząc na nią czule. - Przemyślałem to, i wydaje mi się jednak, że trochę mnie

lubisz, niezależnie od tego, że jestem Curtisem. I wiem, że nawet jeżeli jeszcze mnie nie kochasz, wkrótce docenisz moje wdzięki i zalety.

Gdzieś na horyzoncie zamajaczył przed Kathy promyk szczęścia, nieśmiała zapowiedź spełnienia.

- Czemu tak myślisz? - wyszeptała.

- Bo żadna dziewczyna nie reaguje na wroga w taki sposób. Jesteś niezłą aktorką, ale nie zawsze potrafisz udawać. A ja nie umiem cię opuścić. Nie zrezygnuję z ciebie, Kathy. Jesteś mi potrzebna.

Przyciągnął ją do siebie i pocałował, a w niej aż zawrzało. Nie opierała się jego ramionom, które oplotły ją ciasno. Jego wargi wędrowały wzdłuż jej szyi, jego dłonie zręcznie zrzuciły z niej sweter. Po chwili także jedwabna koszulka zsunęła się na podłogę. Wtedy Kathy przekonała się, jak bardzo się myliła. Absolutnie nie da sobie rady bez Williama Curtisa!

- Co robisz?

- Jak to co? Coś, co już dawno powinienem był zrobić. Chcę ci powiedzieć, że bardzo cię kocham, całą, twoją duszę i twoje ciało.

- Czemu mówisz to dopiero teraz? - mruzczała rozpalona, rozpinając mu koszulę.

- Nie chciałem cię wystraszyć...

- Nie boję się miłości. Zakochałam się w tobie pierwszego dnia, tylko tak mnie złościło to nazwisko...

- A teraz? Zaśmiała się.

- Mężczyźni z rodziny Curtisów nie są tacy źli. Zwłaszcza jeden.

- No to zacznijmy od początku - odparł. - Pozwoli pani, że się przedstawię. Nazywam się William Curtis i jestem lekarzem. Chciałbym poznać panią bliżej. Ale zanim pójdziemy do sypialni...

- Kto mówi o sypialni?

- Tu też będzie dobrze - zgodził się. - Wyjaśnijmy tylko jedno. Kiedy ślub?

Serce Kathy przepełniło szczęście.

- Myślałam... - omal się nie zakrztusiła. - Myślę, że przyszły tydzień nie byłby taki zły...

- Zaznacz w kalendarzu. A teraz musimy nadrobić zaległości, kochanie.

Zrzucił z siebie resztę ubrania i zaniósł ją jednak do sypialni.